

Wieczornia Wołyńska

ulica Gąbrowska 2



1904.

St. Korczak.

Ceci podnemu profesorowi
Marekowi Dubieckiemu
na pamiątkę poręta
St. Korczak.

St. Korczak.

Warszawa 13/3 1904

Wieczornica Wołyńska

Opowiadania i pieśni.

Obrazek rysunku M. Chromcewiczówny.



Nakładem Autora.

Zakład Drukarsko-Litograficzny Kamińskiego

Warszawa, Nowy Świat 46.

1904.

Zbiory specjalne

K.36/33

BIBL. GŁÓWNA

Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Января 1904 г.

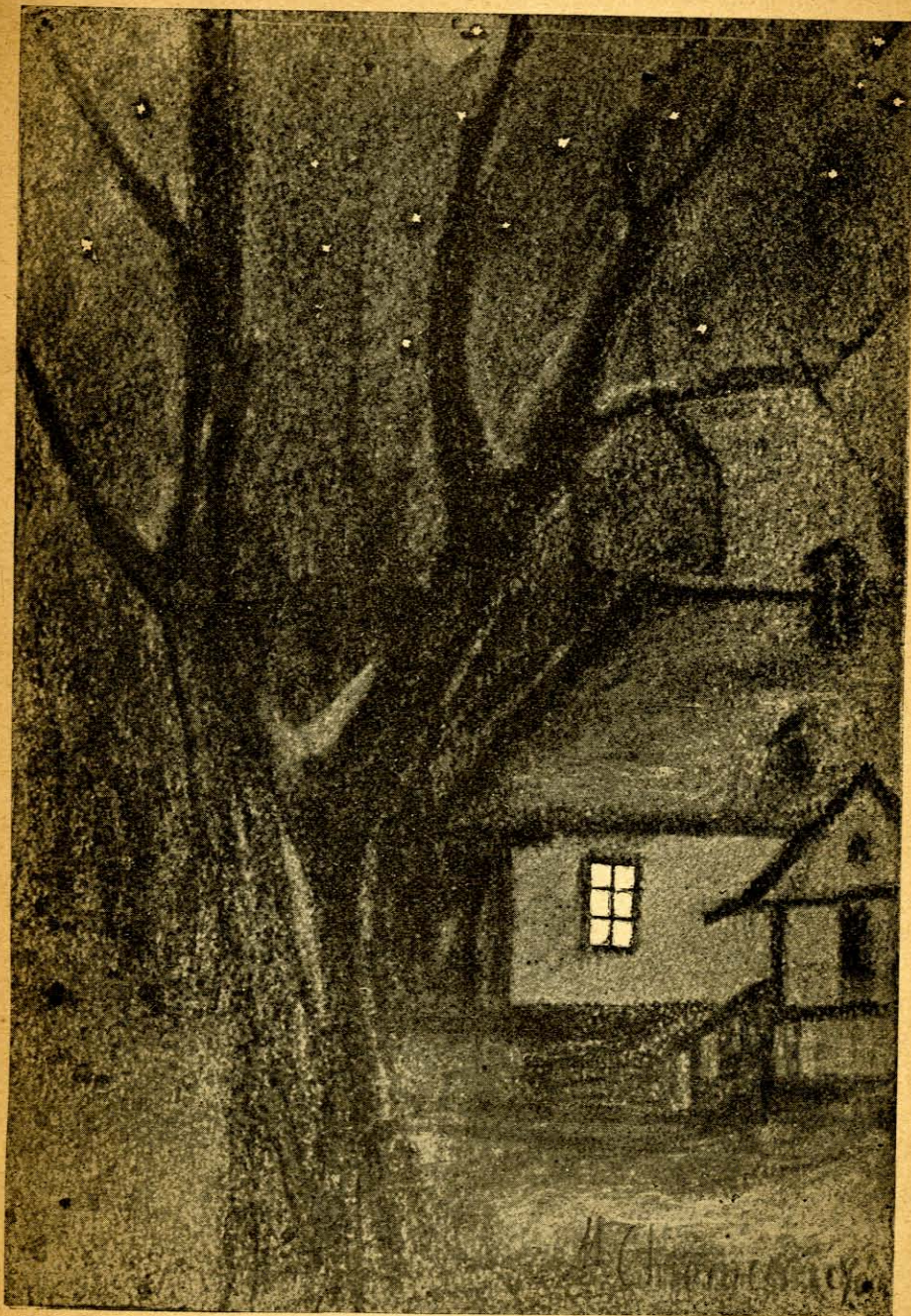


33996

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0403187



K-35/73



*Pamięci czcigodnych, ukochanych Rodziców moich
poświęcam wspomnienie jednego z wielu miłych wieczorów
spędzonych pod błogostawionym Ich dachem.*

Cześć Ich pamięci.

St.

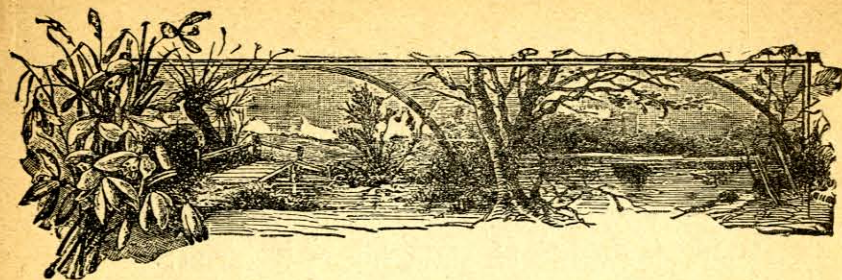




Przygrywka.



Pieśni młodości, wiary w dobre życie
Dolą stargana wracasz jednak skrycie,
I chociaż wszystkie twe zwodnicze mary
Jako wiosenne zwiaty się opary,
Chociaż twe dźwięki zmieniły się w zgrzyty
Młodzieńcze mary to jednak granity
Na których życie buduje się całe.
I podkład przetrwał, choć gmachy nietrwale
Runęły gruzem, nakryły się kirem,
Serce na drzazgi zdarte bólu wirem,
A dusza rwie się i leci w niebiosą.
Targnięta na dół, podwójnego kłosa
Szuka uparcie, lub źdźbła koniczyny
By z czterma liśćmi powrócić w wyżyny.
Wieczne pragnienie choć strzep ideału
Znieść z góry na dół do ziemskiego kału;
Błękitu rąbek pochylić nad ziemię,
Naszego życia najcięższe to brzemie,
Nikt go nie zdejmie bo wrosło do duszy
I nie opóści aż życie rozkruszy.



Wieczornica Wołyńska.

Gdy jesień szare rozwiesi opony
Na błękit nieba z iskier wygaszony
Świetny bieg wozu słonecznego skróci
I długich nocy czarny płaszcz zarzuci
Sunąc nad lasy, pola, dwory, sioła;
Wtedy gosposie jedna drugą woła
W naszym Polesiu, bo już się zaczyna
Szereg wieczornic przy ogniu komina.

Na nim blask bije z smolnego łuczywa
Po rolnych pracach czeladź wypoczywa.
Co wieczór inne przygarnia ognisko
Wiejskich przyjaciół mieszkających blisko.

Z robotą idą wiekowi i młodzi,
Próżnować wstydno, ani się też godzi.

Łyżki z lipiny wystrugują starzy,
Za to gosposia strawę lepszą zwarzy,

Gdy na omastę grosze się ostaną,
Każdy uchwyci skwareczkę rumianą.

Inni z tytoniu okrawują liście.
Silniejsi proso tłuką zamaszycie
Na jagły w stępie. Albo hreczka czarna
Sypie się w niecki białą kaszą z żarna;
Najbliżsi krupy chwytają w przetaki
By mąkę wysiać.

Tu znów chłopak jaki
Koszyk wyplata, lub półkę nacina
W desenie takie, jak szyje dziewczyna
Czerwoną nicią na białej koszuli.
Tu młoda matka dziecię karmi, tuli,
Tam, starsza z wełny tka krasne rańtuchy
Pedałem rusza, łoskot czyniąc głuchy.
Ale najzwyczaj każda z niewiast przedzie
Pod ścianą izby zasiadając w rzędzie,
Kondziatkę krągłą kładąc na przęślnicy
Wrzecionem cienkie wyciągają nici.

Gdy się już każdy umieścić postara
Zwolna rozmowy wszeczyna się pogwara:
Starzy wspomnieniem darzą plony letnie.
Wesołość młodych często cyfry przetnie
Żartem, lub śmiechem. Nieraz piosnka wzleci
Pod pułap chaty. A malutkie dzieci
Proszą o baśnie.

Temu zadość czyni
W czeladnej izbie dóbr pańskich rządczyni
Pilnując robót.

Ona książki czyta,
Z jej opowieści nowy czar wykwita.

Choć raz na miesiąc w dworskiej oficynie
Dziewki len przędą za bajki jedynie.

Chłopcy fasolę łuszcą jej z ochotą
Lub koszów kilka na zimę uplotą.

Ona przysmakiem znów częstuje gości
W pierogi wkłada ser tłuszczutki, przedni,
Suszony owoc wydobywa z bedni,
Chleb sitny miodem słodzi gdy kto pości.

Czasami jabłek krasnych stawia kosze,
Jeśli niekiedy pięknie ją poproszę.

Ale od jabłek kraśniejsze powieści
W które i dowcip częstokroć zamieści,
Młodzież się zbiera i pełna skupienia
Lęka się, wzrusza — uwagi zamienia
A zawsze rada, gdy pani Grzędzina
Minione czasy barwnie przypomina.

Ona, gdy słowo zakłęte wypowie
Z grobu powstają przedwieczni królowie,
Jak żywi stają w zasłuchanych myśli
Gdy im królewski majestat okryśli,
Barwnymi słowy, z bujnej wyobraźni;
Ciekawość młodych nieustannie drażni.

W bój czasem rzuca odważnych rycerzy,
Z którymi szereg młodych zuchów bieży.

Znów budzi w zamkach zakłęte panięta...
Ach! ona tyle cudnych klehd pamięta,
Tyle uroku w słowach swych roztoczy,
Że ciekawością płoną młode oczy,
Serce drży bolem, niepokojem, trwogą —
To znów radością.

I uśmieć się mogą
Gdy jakie baśnie krotochwilnej treści —
W opowiadanie swe czasem zamieści.

Nawet i w palcach taki dar posiada
Że jej roboty podziwia gromada.

Jej nitki lniane najcieńsze bywały
 I najwzorzystsze z wełny samodiały.
 W grzędach warzywo najbujniej wyrasta,
 Chleb się wydarza jako bułka z miasta.

A serce miękkie jak wosk ma w potrzebie,
 Biedniejszych we wsi przygarnia do siebie.
 Z dziedziczką chorych lekarstwami wzмага,
 Młodych naucza. Znana jej powaga.

Młódzież jej z uczuć czasem się spowiada
 Na wieczornice zgromadza się rada.

Zanim rodzice zwiążą zrękowiny
 Tu chłopak walczy o serce dziewczyny.
 Gdy starzy córkę chcą dać bogaczowi,
 On miłość słowem miodopłynnem złowi,
 Zeczaruje duszę, zdobędzie kochanie
 I nawspak planom starych ojców stanie.

Na wieczornice wprasza się młodzi,
 Nad nimi Semen zuchwały przewodzi.

Belki on spławia. Z dalekiej podróży
 Wrócił do wioski. Szczęście sobie wróży
 Z piękną Kołyną, od roku ją kocha,
 Ona mu sprzyja, zdaje się nie płocha.
 Lecz chmura czarna zwiśla nad ich dolą,
 Gospodarzowi córkę oddać wola
 Starzy rodzice. Smutek serce ścina
 Kołynie rają gospodarzów syna...
 Drzwi mu jej chaty zamknęli ojcowie,
 Więc choć ją kocha, jakże jej to powie?
 Trudno posyłać do rodziców swaty
 Gdy niema pola ani własnej chaty,
 Zboże dziedzica spławia aż nad morze
 Tą służbą myślał, pole se wyorze,

Rubli nazbiera, a dwór za zasługi
 Da mu pod lasem zagonu pas długi;
 Chatę postawi i zasadzi drzewa...
 Z wybraną żoną raju się spodziewa...
 A tu, gdy wrócił, rywal jest niecnota.
 Kocha Kołynę ale gniew nim miota.
 Hardy z sprawności, młodzieńczej urody
 Pogardza tamtym. Bogacz, lecz niemłody,
 Brzydki, niemrawy, równać się nie może
 Z nim, co tak wyrósł jak dąb prosty w borze,
 Silny z niedźwiedziem borykać się gotów,
 A tamten w drodze staje do zalotów...
 Nie chcą go w chacie — i on się nie prosi.
 Durzą Kołynę — śmieje się do Zosi.
 Lecz wieczornicy żadnej nie ominie,
 Choć tutaj przyjrzy się pięknej Kołynie.
 A nikt nie powie że dla niej przychodzi,
 Bo tu dla baśni zbierają się młodzi.

Raz faktor z Kowla przybył z loteryją,
 Mamił wieśniaków że szczęścia użyją
 Biorąc bilety, wygrają tak dużo
 Że złoto w domu mierzyć będą krużą.
 Sypiać spokojnie, aż po świcie, długo
 Bo im pomyślność wnet popłynie strugą.
 I przyszedł kusić, gdy młodzi z wieczora
 Na cudne baśni zesli się do dwora.
 Pani Grzędzina zaraz opowiada,
 Że z złota wyjdzie dobrego zagłada
 To dwór szatański.

„Gdy Bóg ziemię budzi.

Z cieniów chaosu i osadza ludzi
W kwiecistym raju, by żyli w rozkoszy
I niewinności, szatan spokój płoszy
Podszeptem grzechu.

Bóg z raju wygania,
Weale nie z gniewu, a raczej z kochania
Jak dobry ojciec, pragnąc szczęścia dzieci.
Kiedy bezczynność grzeszne myśli nieci
Grzech każe trudem zmazać Adamowi.
Szatan w rozkoszy łatwo dusze łowi,
Zaś Bóg dał pracy moc takiej świętości
Że w ludzkich duszach przy niej enota gości
Serca zdolnego kochać pracę szczerze
Nigdy dla grzechu szatan nie zabierze.
Tak mówił anioł, gdy ognistym mieczem
Wyganiał ludzi krzyczących: „Ucieczem!”
„W pracy, od grzechu ujdzie dusza wasza
Lenistwo enoty zarody poskasza,
I wtrąci w wiecznej męki udręczenia
Następców waszych całe pokolenia.”

Ludzie struchleli, i pełni rozpachy
Poszli znękani na żywot tułaczy.

Głód rył wnętrzości, więc szli coraz dalej.
Wzrokiem owoców lub jagód szukali,
Lecz nie znaleźli, aż wreszcie strudzeni,
Przyszli nad brzegi Tygrowych strumieni,
Siedli zmęczeni i Ewa bezmyślnie
Bierze kłos żyta, w palcach go wyciśnie
A tu się ziarna sypią na jej dłonie...
Ogląda pilnie, ciekawością płonie,

— Co to za owoc? — w myśli swojej pyta,
Żuje... połyka... i czuje że syta.

Z odkrycia ziarenek niezmiernie szczęśliwa
Z Bożej ma łaski, więc zbożem nazywa.
I Adamowi garść wyłuska żyta.
On z żarłocznością wszystkie ziarna chwytą
I znów na żonę krzycheć rozpoczyna
Że nędzy jego w niej leży przyczyna
Bo po tej uczcie ledwie dychać może,
Kto widział takie twarde jadać zboże,
Ewa zmilezała, że gryzła pomału,
Zjadła niewiele, więc pełna zapału
Myśleć zaczęła...

Gdy sen zmógł jej męża
Ona nad zbożem rozum swój wyteża
Na płaski kamień ziarna wysypała,
Drugim rozgniata, jak w żarnach bez mała,
I trze na mąkę, potem wodą zlewa,
Jak mleko biała tworzy się polewa,
Smaczna, pożywna. Więc kobieta rada
Myśli troskliwie i pracy dokłada,
Ugniata placki jak żydowska maca
I na upale słonecznym przewraca.
Bo tam, nad Tygrem żar sypie się z nieba
I w piecu palić na placki nie trzeba.
Skorupę żółwia znalazła nad rzeką
Na żur dla męża, i placki się pieką.
On śpi a stęka, aż wreszcie spocony
Zły wstaje ze snu i znowu do żony
Z wymówką idzie; ona cicha stanie:
„Swarzyć się umiesz — myśli — mój ty panie,
Twarde twe pięści znoją moje plecy,
Ale mój rozum bystrzejszy kobiecey,
Ziarn nie łykałam, lecz gryzłam powoli
Zatem żołądek syty a nie boli“.

Lecz popędlivość poznawszy Adama
 Słucha cierpliwie, nie mówi sama
 I nową strawą częstować nie waży,
 Tylko skorupę podnosi do twarzy
 Nibyto pije

Adam od niej bierze,
 Plackiem zagryza siły czuje świerze...
 Gdy się tak najadł i napił do syta
 Wtedy w objęcia Ewę swoją chwytą,
 Pieści, całuje, mówiąc: „Ewo miła
 Na moje szczęście z żebraś się zrodziła,
 A że powstałaś z kości a nie z ziemi
 Zatem pomysły szyczysz się mądrymi”.
 Adam, jak wszyscy mężowie, wszak wiecie,
 Gdy syt i wesół podchlebia kobiecie.

Więc Adam z Ewą żyją rolną pracą,
 Na próżnowanie nie czasu nie tracą.
 Dziełem Adama była pierwsza chata
 W niej zgodne życie cicho się kołata,
 Bóg im kilkoro podarował dzieci
 A w sercu zapał do roboty nieci.
 Orali, sieli, owiec stada mieli.

Szatan się troska... „Żyją jak anieli.”
 Opieki Boskiej ludziom wprost zazdrości,
 Szczęście ich gniewa — zatem pełen złości
 Krąży wokoło, rozpędza ich stada
 A gdzie odetchnie — zaraz plon przepada.

Ludzie pracują, naprawiają szkody,
 Złość z cichą pracą nie pójdzie w zawody,
 Wściekły zakopał się w piachach pustyni...
 Kocha Bóg ludzi, nie im nie uczyni...
 Praca ich strzeże, widzi jak na dłoni

Że od niezgody trud ludzi obroni.

Szalony złością huraganem lata
 Gwiżdże i wyje z końca w koniec świata.
 Tumany piachu słupami podnosi, —
 Masztowe drzewa łamie niby osi —
 Rzeki wylewa — i góry wywraca.
 Bóg łaski sypie — jego szkodna praca,
 Powłokę ziemi wstrząsa, ogniem bucha
 Mało z wściekłości nie wyzionie ducha...
 Nic nie pomoże — ludzi zbawi praca
 Gdy szatan moc swą w zawiści zatracą.

Zziajany siada — piach przed sobą grzebie,
 A co wykopie odrzuci za siebie.

I gdy tak grzebie całe dnie i nocę
 Nad ranem w piachu coś mu zamigoce.
 W odblaskach wschodu świeci się i mieni
 Jakby odłamy słonecznych promieni...
 Stworzyciel słońce roztoczył na niebie —
 On dla się drugie tu z ziemi wygrzebie.
 Chwyta w pazury — nie grzeje a świeci...
 Co to być może?... zwołuje swe dzieci...
 Wraz przyglądają się błyszczącej kuli —
 Smaku nie czują, choć kawałek zżuli.
 Co to być może?... przecież twór to Boży,
 A Bóg w swe twory zawsze wartość włoży.
 I tkwi w tem pewnie jakaś wielka siła
 Kiedy natura aż w głąb ziemi skryła...
 Gdy tak naradza się rodzina dyabła
 Świecąca kula z zmrokiem w blaskach słabła,
 Aż wszystkie światła spadły z ciężkiej bryły
 Jakby się w oczach dyabła roztopiły.
 Wściekły odtrącił skarb swój tajemniczy,
 Dzieci rozgonił, wściekłem żądłem syczy.



Kopyta rzucił na drożne rozstaje,
Rogami ziemi wnętrzości dostaje,
I marzy we śnie i zgaduje: „Co ta
Bryła tak blaski słonecznymi miota?”

Spał do południa, nareszcie się budzi
Znowu rozmyśla jakby skusić ludzi?
Aż zleniwiła go otworzy ślipie
Spojrzy na bryłę — z niej figlarnie łypie
Synek najmilszy — portret ojca mości,
Więc on do skarbu i z wielkiej radości
Tańczyć z nim zaczął. Siebie widzi w bryle.
„Wolę tem ludzką do zbrodni nachylę.”
„Miłość — w nienawiść zamienię u ludzi!”
Boga się zaprą, gdy ich blaskiem złudzi.
Bryłą się bawi, wprost słońca ją ciska
W niej zapalając zwodnicze ogniska...

Nazawsze pierzchnie z pośród ludzi zgoda
Gdy im skarb jasnych takich blasków poda;
Bo nie oświeca, nie syci, nie grzeje —
Ale krwią zboczy ludzi bożych dzieje...
Jemu zaprzeda swobodnego człeka
Który w rozkoszy pracy się wyrzeka.
Ludziom na braci wtłoczy w dłoń orężę...
Skarb jego, zgodę na ziemi rozpręże.

Więc znowu krąży przy Adama chacie,
Ewie z ukłonem mówi: „Jak się macie?”
Kobieta pracy gorliwej oddana
Traci wrażliwość na grzeczność szatana.
Adam snop wiąże, Kain sochę ładzi
Abel na paszę owieczki prowadzi.
Pracują wszyscy — dzisiaj nie nie zyska...
Wściekłości piana płynie dyabłu z pyska.

Już miał odchodzić, gdy Kain znudzony
Sochę odrzucił i legł na zagony.

Dyabeł przystanął, radość twarz mu szpeci,
Zdobędzie blaskiem adamowe dzieci,
Jeśli ich nudzi a nie cieszy praca,
Lecz w jaki sposób dusze pozatraca?...
Da Kainowi — nikt mu nie odbierze...
Da drugim — Bogu oddadzą w ofierze
Albo podziela się chętnie z Kainem...
Zgoda... ją zburzyć pragnieniem jedynem
Pana ciemności, zawieszę dąć do zbrodni,
Za sercem, duszę napewno zwyrodni.

Więc krąży ciągle przy siedlisku ludzi,
Czekając chwili aż ich blaskiem złudzi.
Kain w nim wzbudza najwięcej ufności
Bo zawsze czegoś Ablowi zazdrości.
Słodkiego wdzięku jego młodej twarzy,
To łaski Bożej, gdy płomień wydarzy
Ofiara brata, a pogoda sprzyja,
Wnet jego kąsa zła zazdrości żmija.
Więc gdy raz Abel odszedł swe ołtarze
Bies bryły skrawek położył na żarze.
Adam przechodząc widzi że coś świeci
Przyjrzał się, dotknął i zabrał dla dzieci,
I pyta Abła: „Coś palił w ofierze?”
Zkąd piękność taka w popiele się bierze?“

Kaina oczy do błyskotki płoną
Zapagnął zbadać tajemnicę oną.
Aby skarb posiadać, prosi: „Bracie miły
Naucz jak węgle jasne się zrodziły?
Stworzyciel bracie dziwnie ciebie kocha.
Abła raz pierwszy nawiedza myśl płocha
Nadęta pychą. Czar niewinny pryska,

Który szatana nie dopuszczał zbliska
Do czystej duszy; teraz Abła goni
I odłam kruszcu wciska mu do dłoni.
Zkąd ma te skarby? sam biedak nie wie,
Milczy...

A Kain w coraz większym gniewie
Żąda wyjaśnień:

„Powiedz! bo cię zwalę!”

Sękatą pałką wywija zuchwale.
Abel się cofa — Kain w złości goni...
I nieuważnie kij trzasnął po skroni...

Abel padł martwy... twarz cała krwią broczy...
Zabójcy z zgrozy w słup stanęły oczy...
Chciwość, gniew pierzchły — a dyszy zgryzotą...

Takich to sprawek jest powodem ZŁO — TO.

Rządczyni zmilęła, a cisza dowodzi
Jak pilnie w powieść wsłuchali się młodzi
Ona zaś, wzrokiem rzuciła z ukradka
W stronę gdzie przedzie dziś Kołyny matka
Przez długą chwilę nikt rozmów nie wszeczyna
Tylko w kominie trzaska osiczyna.
Wreszcie wrzeczona furknęły z rąk prządek,
Chłopcy fasolę zagarnęli w rząddek.
A dziś obecna i córka dziedzica
Rozumną bajką szczerze się zachwyca,
Białymi dłońmi jak dziecina klaśnie:
„Pani Grzędzino, jakie piękne baśnie
Prawi nam pani, i coraz to nowe“.
Za jej przykładem wnet gwarną rozmowę

Ogólnie wszczęto, jak w ulu zawrzało
Słowem podzięk — dziękczynną pochwałą.

A powieściarka dumna z swej powieści
Wątek do nowej bajki w myśli pieści.
Lecz na dziś starczą zdobyte wawrzyny,
Trzeba wypocząć, zatem do drużyny
Zwraca się z prośbą: „By pieśni śpiewali,
Dla dumek panna przysłała do nich z sali.”

Ale czar baśni pod pułapem gości
Nikt zwiać go nie chce, bo to ludzie prości,
Niezwyczajnie uciech umysłowej treści,
Myśl przeżuć muszą, aż w głowę się zmieści.

Kolektor z Kowla czas daremnie traci:
Mądra rządczyni, niech ją porwą kaci!
Fałszywe myśli jak wróżka przenika,
Marne go nie da zarobić grosika,
Podstęp odgadnie — zaraz gada baje.
A czy jej bajka jakie zyski daje?
Chłopa naciągnie — to nie z jej kieszeni...
Lecz grzecznie żegna choć złość go czerwieni.
Nie taki głupi by z nią wszeczynał kłótnie,
Twarda kobieta — siekierą nie utnie.

Grzęda, z zasady tylko, spór zaczyna:
„Czemu to złoto spotwarza Grzędzina?
A z zasług jego, zazwyczaj połowa
Na wieczne wieki w jej skrzyni się chowa.”

Rządczyni, z mężem spór milczeniem kończy
I o pieśń woła.

W tem — w szarej opończy

Wehodzi do izby oryl wołokita...
 Czy może śpiewać panienczki pyta.
 Matka Kołyny chmurzy się, odwraca.
 Na chwilę w izbie całej staje praca.
 Zmartwiało w palcach Kołyny wrzeciono
 Jakby piorunem w dziewczkę uderzono,
 Postać zdrętwiała — serce drży rozkoszą —
 Oczy nieśmiało pannę o coś proszą...
 Panienska główką Semenowi skinie.
 On wzrokiem rzucił ku pięknej Kołynie,
 Wyszedł na środek, ujął się pod boki,
 Ze zdrowej piersi jak strumień szeroki
 Pieśń popłynęła i jak rwąca fala
 Poważny nastrój powieści oddała.

Szumka Semena.

Hej! dziewczęta wy nie wiecie
 Że jak wiele was na świecie
 W miłość chciałbym wprządz.
 Ta co oczy spuszcza skromnie
 Jako żona przyjdzie do mnie
 Gdy nas zwiąże ksiądz.
 Ale niechże nie marudzi
 Latawice są wśród ludzi
 Pójdą za mną w bór.
 Książyc lampę nam zapali
 A słowików w leśnej dali
 Zaśpiewa nam chór.
 Za kilimek mech nam stanie
 Złączy usta całowanie
 Póki we krwi war.

Zimne córki gospodarzy
 A latawie miłość parzy
 Z oczu bije czar.

Zuchwała szumka strwożyła słuchaczy:
 „Semen szalony na pannę nie baczy!”
 Na twarz panienki wystąpiły róże,
 Na nie cieniami padły rzęsy duże...
 Wszystkie dziewczęta pospuszczały oczy,
 Pani Grzędzina z pogrzebaczem kroczy:
 „A ty urwisie, precz mi z oficyny,
 Pieśniami będzie gorszył mi dziewczyny,
 Panienki prosił, wszyscyśmy myśleli
 Że mu piosneczkę natchnęli anieli,
 A on tu jakieś latawice chwali.”
 „Za drzwi z orylem!” wszyscy zawołali.
 Przepraszał, błagał, składał na panicza,
 Że odeń idzie piosnka ta zwodnicza,
 Śpiewać mu kazał.

 Lecz wyrok zapada: —
 „Wygnać oryla.” — uchwaliła rada.
 Grzędzina mówi: „Dzisiaj nie przebaczę,
 Naucz się statku, gdy chcesz jeść kołacze.”

Wychodził smutny — śmiech szedł jego śladem,
 Żał przemknął tylko ślicznem liczką bladym
 młodej Kołyny.

 „Za drzwiami zostanie, —
 — Myślała sobie — wstrzyma go kochanie,
 Pewnie zaczeka aż pójdziem do domu.”
 Więc swą przeszniczkę objęła rękoma,
 Główkę podniosła, jak słowik w krzewinie
 A z ust otwartych piosnka jej wypłynęła.

Tęskna i rzewna, jak dziewczyny dusza
Którą zawziętość na kochanka wzrusza.

Dumka Kołyny.

Szumia liście na dębinie
A w niej gołąb grucha,
Kocham dziewczę, chę jej mówić,
Odganiają zucha.

Chcę jej mówić lecz rodzice
Nie puszcza do chaty,
Bo jej rają gospodarza
A ja niebogaty.

O wy wichry co wiejecie
W mojej lubej strony
Wy szepnijcie jej do ucha
Żem jak zatracony.

Bo choć hardo się nastawiam
Ale serce boli,
Bo choć śmieję się do ludzi
Ale nie mam doli."

Tam nad rzeką brzoza biała
Na niej szumia liście
A nad brzegiem dziewczę siedzi
Płacze oczywiście.

Wichry górą przeleciały
Z liści szmer wybiega:

„Czego wzdychasz moja mała
U strumieni brzega?”

Ręce w żalu załamujesz
I twarz zapłakana?”
„Jak nie płakać, gdy rodzice
Wydać chcą za pana.

Gospodarza nienawidzę
Bo wpadła do ucha
O miłości cudna piosnka
Którą gołąb grucha.

Serce wraz z gruchaniem bije
Lecz znów druga troska
Bo czy gołąb o mnie myśli
To wie Matka Boska.”

„Cicho luba, cicho mała
— Szemrze brzoza cicho —
Gołąb kocha tylko ciebie
Złe odpędzim lichu.

Lecz z swatami iść się boi
Do mamy i tata
Bo wiesz miła, że u niego
Bieda się kołata.“

Mnie bogactwa nie potrzeba
Pracy się nie boję,
Chcę z gołębiem związać życie
Zdrowiśmy oboje.

O wy wichry, wy kochane
 Zabiegnijcie drogę
 I śpiewajcie ciągiem jemu
 Że zamrzeć tu mogę.

Niechaj skrzydła swe rozwinie
 I z drogi nie zbacza
 Niech pospieszy w nasze progi
 Przed swatem bogacza.

Niech rodziców moich prosi
 A swaty przysła
 Bo z kąd mogę biedna wiedzieć
 Czym ja jemu miła.

A gdy swaty jego przyjdą
 Ojcom się pokłonię,
 Powiem: Drodzy błogosławcie
 Dajcie mu swą donię.“

Matka córkę podsłuchała
 I na łzy nie zważa
 Zaręczyła swą dziewczynę
 Lecz za gospodarza.

Od zrękowin bieży z chaty
 Gdzie najgłębsza rzeka...
 W pustej chacie matka sama
 Na dolę narzeka.

Matka Kołyny chmurą czoło mroczy
 Oryła nie chce przypuścić na oczy,

Gospodarzowi córka przyrzeczona.
 Wszak ona także gospodarska żona.
 Oddać takiemu co lata po świecie
 To jakby córkę wyrzucić na śmiecie.
 Młoda, taj głupia, sama nie wie za co
 Wlubiła sercem w takiego ladaco...
 I dzisiaj, w naszym ucziwem zebraniu
 On latawicom śpiewał o kochaniu.
 Mało mu jedna, niechże taką bierze
 Co sobie także pofolguje w wierze...
 Nawet nie zważał, że panienka nasza
 Do nas prostaków grzecznie się zaprasza.
 Zamiast żyć w statku—śpiewa grzeszne dziwa.
 Niechże się figi, nie córki spodziwa...
 Siermięgę zmienił na kapotę z miasta...
 Nie dam Kołyny, zapomni i basta...

Pani Grzędzina wie jak trawa rośnie,
 Kołynę lubi, spojrz nań litośnie
 I aby matki rozproszyć dumanie
 Z prośbą o piosnkę przed panienką stanie.

Panienka bacznie spogląda w około
 Stroskanej matki widzi chmurne czoło.
 I smutek wielki na Kołyny twarzy,
 Prośbę Grzędziny w myśli swej rozważy.
 Przytem, przeze drzwi uchylone z sieni
 Semen zagląda, twarz mu się rumieni,
 Wąsy zakręca swobodnie i śmiało
 Jakby zapomniał, że go się wyгнаło.
 Śpiewać nie będą wam dzisiaj dziewczęta
 Opowiem bajkę, niech młódź zapamięta
 Jakie to dziwy stały się przed laty
 Gdy Hanki płochy mąż wyruszył z chaty.

Ballada piórkowicka.

Naszej wioski bajka baje
 Że rusalka jakaś mściwa
 Dzierży w mocy wód ruczaje
 I w jeziorze tu przebywa.
 A szczególnie jakoś kocha
 Młode dziewczki z tego sioła,
 Bo powstaje piękna płocha
 Gdy z wód która ją przywoła.
 Nad kolebką nuci pieśni
 Lubczyk sieje im na grzędzie,
 Gdy ból zwarzy którą wcześniej
 Mścić się krzywdy jej przybędzie.
 Chłopcu straszna, groźna ona,
 Jeśli zdradę knuł dziewczynie
 I zapłacze rozżalona,
 W nurtach wody marnie zginie.
 Gdy rzucona, młoda dziewa
 Nad jeziorem smutna stanie
 I rozpaczy łzy wylewa
 Wód roztworzą się otchłanie...
 Ah! i w blasku tu księżycy
 Mgła się tworzy popielata
 Z mgły powstaje topielica
 I nad wodą lekko wzlata.
 Piękna, jako z żywych żadna
 Wzrok miłości czuciem żarzy
 Wód rusalka naszych zdradna
 Straszny uśmiech ma na twarzy.
 W księżycowej, jasnej bieli
 Wieczorami widzieć można

Jak od wody się oddzieli
 Topielica ta bezbożna.
 Czasem z strachu krzyknie dziecko,
 Stary człek znów świętych wzywa,
 Ona skryje się zdradziecko
 Lecz znów zjawi niegodziwa.
 Z wodą pływa, z wichrem lata,
 Przemoc woli swej wywiera
 Hen, w najdalsze krańce świata
 Niema, groźna ta przechera.
 Aż nareszcie siłą czarów
 Winowajcę tu zawraca.
 Nie chcąc — musi przyjść nad parów
 Dokonana zwodna praca.
 Kochał, zdradzał, ranił serca,
 Łzami dziewcząt żył do syta,
 Dzisiaj rozum mu przewierca
 Myśl, że marę złudną chwyta.
 Topielicę woła, goni
 Chce pochwycić ją w ramiona...
 Giną razem w głębi toni
 I dziewczyna już pomszczona.

Dziewczętom z oczu ciekawość prześwięca:
 „Panienka z kąd się wzięła topielica?
 — Pytają chórem — czy zawsze przychodzi
 Gdy się poróżnią narzeczeni młodzi.“
 Serce Kołyny litość wnet przenika:
 „Zgrzeszył panienko, lecz szkoda grzesznika
 A z kąd złość taka w tej wodnej przecherze?
 Czyż karać rozkosz? ja temu nie wierzę.“

Panienka w płomień długo patrzy, bada,
 Jakby w kominie lęła się ballada,
 Z myśli wysnuwa wątek do powieści
 O życiu więdźmy...

Tak ją w rymach streści:

„Chciecie wiedzieć dziewczki hoże
 Jakiem prawem cudu dziwy
 Karzą zdradę, gdy o Boże!
 Każdy pono z nich zdradliwy.
 Dawno, wiek już temu cały
 Żyła Hanka, cud urody,
 W oczach Hanki ognie grały
 Ale w sercu były lody.
 Z całej wioski młode zuchy
 Sercem się do Hanki rwali
 I nie mając skry otuchy
 W chęciach dla innej byli stali.
 Hanka mile się uśmiecha
 I uprzejmie odpowiada
 Ale mała ztąd pociecha,
 Kto ją kocha temu biada.
 Bo ucieka w dal od młodzi,
 Z dziewczętami się nie brata,
 Nad jeziorem sama chodzi
 Po robocie, w ciągu lata.
 W zimie — wprawdzie przedzie razem
 Ale cicha — jak zakłęta,
 Dumek cudnych jest obrazem
 W smutku tak się zapamięta
 Że wśród tańców smętne pieśni
 Nucić zacznie, i ucieka...

Jawę życia marą prześni,
 Myślą wiosce swej daleka.
 Aż raz przyszedł lirnik zdala,
 Ujrzał Hankę czarodziejkę
 I miłością się zapala,
 Ojców prosi o jej rękę.
 Hanka z razu go nie chciała...
 Lirnik czarem pieśni włada
 Więc utkwiała w sercu strzała,
 Rozkochane dała rada.
 Razem nuć wieczorami...
 On znów szepce jej do ucha,
 Obietnicą złudną mami,
 Zwodzi, nęci, Hanka słuca.
 Aż miłości wielka siła
 Dała chłopcu dziewczę młode..
 Potem rozum stumaniała.
 Gdy ją rzucił, poszła w wodę.
 Lecz przed śmiercią dziewczkom z sioła
 Moc przyzwania dała w darze
 I gdy która ją przywoła
 Zwodziciela wnet ukarze.
 Więc kto zdradę ma na myśli
 Niech ją niesie w inne strony...
 Zemsta z życia go wykryśli
 Zwodnik będzie tu skarcony.
 Za kłamliwe przyrzeczenie
 Wrzucim go do zimnej głębi,
 Niechaj wiary w serc istnienie
 Niestalością w nas nie ziębi.

Tak panna straszy hardego oryla,
 A jemu trwoga z oczu się wychyla,

Z ludźmi zuchwały, lecz wodnic obawa
 Gnębi go nocą gdy Turę przepława.
 Czasem, gdy fala z wichrem się rozgada
 Jemu do oczu zagłada śmierć blada...
 Zimnica lodem krew mu w żyłach ścina...
 Wstrząsnął się dreszczem...

Pomszczona Kołyna

Za pustą szumkę...

Klamkę puszcza z dłoni
 I znakiem krzyża od uroków broni,
 Znaczy nim piersi, czoło, zbladłe lica...
 — Raz go już na dno ciągnęła zwodnica,
 Ręce i nogi wplotła w wodne zioła,
 Zimnemi wargi dotykała czoła,
 Ostremi piaski sypała na oczy...
 Strach mu wspomnieniem złączy serce tłoczy,
 Odczuwa drętwe, jak mgłały ramiona,
 Dopiero Panna Przepzysta wspomniana
 Siły mu wzmogła, dała w rękę wiosło
 By go z topieli na wierzch fali wzniosło...
 Pewnie modliła się za nim Kołyna,
 I teraz słodkim wzrokiem upomina...
 „Trzeba żyć w statku“—postanawia w duszy...

Skupione myśli śmiech pusty mu głuszy
 I tuż za drzwiami kukułka zwodnicza
 Wśród zimy kuka?...

Ach! to głos panicza.

Piosnka panicza.

Kuku! w ogrodzie pasieka
 Dziewcze od chłopca ucieka
 Kuku! kuku!

Od całusa się rumieni
 Gniewna chowa się w zieleni
 Kuku! kuku!
 Znaleźć dziewcze żadna sztuka
 Gdy kukułka zradna kuka
 Kuku! kuku!
 Więc znów szepce jej do ucha
 A kukułka zradna słuca
 Kuku! kuku!
 Zła plotkarka, niegodziwa
 O nich wszystkim wykrzykiwa
 Kuku! kuku!
 Woła do płotu krawędzi
 Matka córkę ach i zrzedzi
 Kuku! kuku!
 A ptaszyna ta zradliwa
 Dziewczę do pasieki wzywa
 Kuku! kuku!

Zajrzał przeze drzwi, zaśmiał się srebrzyście
 Nie wejdę i mnie, wnet wygnalibyście
 Tak jak Semena, za moją piosneczkę.
 Strach mnie wstrzymuje, bom zgniewał troszeczkę
 Siostrę kukułkę, kobiet tutaj władza
 Grozą przejmuję, bo gdy chłopak zradza
 Upiory z wody wyprowadzać mogą.
 Dobranoc nudy, wracam moją drogą.
 Ale! siostrzyczko masz rozum tak stary
 Czemu łask niema u cię pan Hilary?
 Trochę wiekowy lecz ma włości wiele,
 I cnotę pewną, zganić się ośmiele
 Że odeń stronisz. Biedny, stary panek
 Uciekał z domu gdy wjechał pod ganek.

I wolisz wiedźmy wyprowadzać z wody
Niż Hilarego bawić, bo nie młody.

Godzinkę tylko zostać ci pozwolę
Bo o dziewiątej wieczera na stole,
Przyjdę po ciebie. Lecz rozgrzesz oryła,
Patrz, jak pokornie z za drzwi się przymila.

Chciałem cię skarać moja siostró miła,
Żeś nam nudnego gościa zostawiła.
Za tylokrotnie dawane mu kosze,
Kazałem śpiewać. Więc pokornie proszę
Panią Grzędzinę, niechże już wyzwoli
Oryła z sieni, do bicia fasoli.
Zmarznie za drzwiami, mróz w żyłach krew ścina
Wszak miłosierna jest pani Grzędzina.“

Skłonił się z za drzwi, zniknął jak zjawisko
Tylko śpiew kuku odezwał się blisko.

Śmiech powstał w izbie, panna główką skinie
Aby przykrości nie robić Kołynie,
Rządczyni chłopca w izbę wpuszcza z sieni;
Kołyny liczko jasno się rumieni,
Wrzeciono furka, nitka równa, duża...
I starej matce czoło się rozchmurza:

Państwo Semeną lubią, ślą z galary...
Może i lepszy mąż młody nie stary...
Śpiewał z namowy, więc nie jego wina...
Tak się sąd matki powoli nagina.

Bo kiedy Semen łaski ma we dworze
To młodej parze dziedzie dopomoże,
Na chatę kilka podaruje choi...
Wszak Semen zawsze przy wyrębie stoi...

Może w zasługi pan polanę wliczy
Która do naszej przytyka się pryczy...

Już nie newistką, ale panią w domu..
Donia... zawadzać nie będzie nikomu...
Pani jałówkę chowa dla Kołyny...
A panicz parę koni ze stadniny
Da Semenowi, bo on ręka prawa
Panicza, kiedy w lesie jest obława...
Pan z galarami śle nad morskie kraje,
Gdy żydom zboża tanio nie oddaje...
Panna Inu talek da sto na koszulę...
Wszak jeszcze suciej wydali Urszulę...
Ha! co mój powie? jego słowo waży,
On sam gospodarz, więc do gospodarzy
Woli dać dziecko...

Lecz codzienne płacze
Zmarnują dziewczkę... niechno ja obaczę...
Wszakże rządczyni przed chwilą prawila,
Że wielkich bogactw nieczysta jest siła,
Że zły wyszukał skarb złota dla świata,
Więc moja donia bogactwem pomiata...
Może grzech córkę swatać bogaczowi.
Gdy go nie cierpi? szatan duszę złowi
Niechętniej żony... namówi na gacha...
Nad dolą córki dusza mi się stracha...
Ale opończę Semen zrucieć musi
Gdy chce być mężem mej doni Kołusi.

Tak w głowie matki, los córki się waży,
Myśli troskliwej stanęła na straży
Cisza — niemota języki obsiadła,
Serca w pierś tłuką — jak młot o kowadła.

Z nad stosów grochu wzrok wznosi powoli
Oryl na dziewczkę — anioł stróż jej doli
Skrzydłem swem blaski z łuczywa w nią ciska.

Ona jaśniej wśró d tego koliska
Dziewcząt zebranych, jak djament pierścienia.

Obecność panny uroku nie zmienia,
Jej ciemna szata równać się nie może
Z białą koszulą, z której biją zorze
Młodego lica gorącym kochania.

Z niej żywiołowa siła się wylania,
Wszelkie przeszkody miłości potęga
Zerwie, jak wiosna do dna lodów sięga,
Zmartwiałą ziemię umai nadzieją,
Aż na niej kwiaty tęczą zajaśnią.

Starych rozkoszne wiosny spoją wonie,
W potężnym czarze wola ich utonie
I w cudotwórczej sile młodej wiosny,
Zdołają odczuć dzieci pęd miłosny,
Drżącemi dłońmi błogosławić będą,
Nad młodej pary zaoraną grzędą.

Gdy anioł ciszy sieje różne myśli,
Nowej powieści Grzędzina plan kręśli,
Semen w jej sercu łask trochę posiada,
Lecz z jego oczu na świat patrzy zdrada.
Wąsy mu drgają uśmiechem swawoli,
A ostre zęby tak świecą, aż boli
Patrzyć się na nie, taką błyszczą bielą,
Gdy warg korale uśmiechy rozdziela.

Rada, że nie jest jego krasawicą,
Do krwi całować będzie, gdy go chwycą
Ręce dziewczyny, jak wilk drobne jagnię;
Dobłą Kołynę do swej woli nagnię...
Trzeba go straszyć, gdy mara nim włada,
Na zdradne myśli jedyna to rada.

Więc ciszę w izbie przerywa Grzędzina:
„Może panienka sobie przypomina,
Tę piękną bajkę; w lecie, dwa lat minie
Prawił nam gazda na zamku Czorsztyńnie.

„Trochę, o proszę, niech nam pani powie
Taka prześliczna w każdym swoim słowie“

Pani Grzędzina kołowrotkiem ruszy
Nim głos nastroi, a słuchacze uszy
Zwróćą w jej stronę, nim ona w zapale
Prawić im zacznie.

Gór nie znają wcale,
Dowcip się sili, w myśli tworząc zwały
Skalnych ogromów. W pamięci zostały
Poleskich borów zarysy na skłonie...

Może i góra tak w obłokach tonie
Nad ruń zielenią, jak sośnina nasza
Zanim się trawy przed zimą poskasza?..

Bajczarka spuszcza zamyśłone oczy
Na cienką nitkę, którą z przędzy toczy,
Gładzi palcami, skręca na zwijadło
Zanim z ust słowo miodopłynne padło.

Wreszcie natchnienia porwały ją moce,
Kołowrot ustał — cichy — nie turkoce,
Gdy stopę wzniosła z pedałowej deski...

Ręce spuściła na fartuch poleski
Z wełny wzorzystej — poprzecznymi pasy
Sama utkała w tęczę pełną kraszy.

Na nim spoczęły spracowane dłonie
A myśl jej w cudach zaświatowych tonie,
By ubrać w szatę czarodziejskiej baśni
Dla młodych morał, niech im myśl rozjaśni.

Wreszcie zaczyna, z namysłem, powoli
Baśń o księżniczki młodej dziwnej doli.

Cudowne źródło.

Na niedostępnym zrębie skały krwawej
Wznosił wierzyce zamek pełen sławy.

Dołem Dunajec czarny, rozhukany
Zuchwale pędził rwąc skalne kagany,
Którymi góry powstrzymują fale;
Ławą kamieni: więc pędzi zuchwale,
Rwąc, toczy wody jak czarne kudliska,
A białą pianą jak zwierz dziki pryska
I wyję groźnie i jak war przewraca
Skłębione wody — istna czaricia praca.

Wkoło świerszczyna i wysmukłe jodły
Piętrząc się w koło, rozhowory wiodły
Szumem gałęzi pachnących żywicą,
Których woń cudną halne wiatry chwyca
Pojąc balsamem płuca swych górali
Dając sił krzepkość, by zdrowo przetrwali
Głód czasem w zimie, gdy owies nie zrodzi,
Lub świętojańskiej przyjdzie mór powodzi.
A na polanach biegnących w doliny
Rosły poziomki i słodkie maliny,
Krasne i smaczne jak dziewczyny usta
O której rękę młódź się w szable chlusta.
Jagody, panny z księżęcego zamku
Zbierały w dzbanki o wczesnym poranku
Swawoląc radę jak sarenki w lesie.
A wietrzyk żartý z szumem jodeł niesie
Całuje usta, rozplata warkocze,
Liczka zapala, w gardziołkach chichocze.

Na czele dziewic, córki księcia pana,
W białych muślinach, jak chmura rozwiana,
Gdzie pomkną — słońca promienie przykryją
Co przez konary jasną płyną szyją.
Lecz za to same skąpane w światłości
Wcieleniem pragnień zdają się miłości.

Miesiąc nie minął ani jeden prawie
Bez zalotników, którzy jak żórawie
Ciągnęli sznurem, posyłając swaty
Z drogimi dary, w księżęce komnaty.

Nie mieli o co kłócić się rywale
Bo im księżniczki odmawiały stale.

Na mirt — mówiły — nie chcą zmieniać ruty
Bo mirt niewolą często jest zatruty;
Gdy dziś swobodne, jak polne motyle,
Psute przez ojca, życie pędzą mile;
W zimie przy krosnach, latem w chryżym locie
Biegna do lasu ojcu rwać łakocie.

Wszak ojciec własny, dobrym panem zwany
Zły był dla żony jak inne tyrany
Dlatego młode zakończyła życie
Z własnej swej woli. Tak mówiono skrycie.

A księcia smutek dręczy po jej śmierci,
Wyrzutem serce, niby świdrem, wierci.

W dzień, myślą pracy rządzenia oddany
Gromadzi k'sobie swoje radne pany,
Rozkazy daje albo sądzi sprawy,
Coraz łagodniej...

Dawniej wyrok krwawy
Wybiegł mu często ze wzburzonej piersi,
Od kar bezpieczni nie byli najszczersi.

Wieczorem zwykle gdy słońko zagaśnie
Smutne wspomnienia zjawiają się właśnie.

Troska tak ciężka jak Beskidu skała
Wielkimi bruzdy czoło poorąta
I w krucze włosy srebrne nitki wtrąca
I szarpie serce.

Aż piosnka kojąca
Wybiegnie z ustek młodszej córki Jadzi.
Bożenna, średnia, czoło dłonią gładzi,
Do ucha ojcu szepce słodkie słowa.
Najstarsza, Ewa piękne gadki chowa
Na noc bezsenną. Ojca rozwesela
Przędą swych marzeń. Prawi bajek wiele
O dzielnych czynach, wodzów wielkiej sławy
Którzy lud wiedli w bój zażarty krwawy,
Strzegąc swej miedzy od niemieckiej dziczy;
A żywot wiedli czysty i dziwicy,
A serca mieli niewinne jak dzieci
Pełne dobroci, — która miłość nieci.

Gdy marzeń córki stary ojciec słucha,
Serce mu dręczy boleść krwawa, głucha
A łzy jak płachta zasłaniają oczy
Taki z nich bujny strumień łez się toczy.

Wszak on nad życie kocha swe dziewczyny
A może którą spotka los matczyny.

Przysięgał niegdyś wiernie kochać żonę,
W lat cztery serce było zwyciężone
Pragnieniem grzesznej, palącej rozkoszy,
Której wspomnienie spokój z myśli płoszy...

Ach! oczy miała głębokie, jak morze,
Usta czerwone, jak malina w borze.
Słodkie, gorące, jak wino tokaju.

Ach! ona żonę księcia struła w maju,
Bo przypuszczała, że na tronie siędzie...

Gdy siła wiosny życiem biła wszędzie
On młodą żonę chował do mogiły...
O samobójstwie wnet sługi mówiły,
Książę nie przeczył... zbrodniarkę z zameczyska
Wygnał.. Myśl kaźni, dziś serce mu ściska...
Skopał nogami i strącił ze skały...
Nurty Dunajca skargą zaszumiły...
Okrutnie skarał... tak się należało,
Lecz pamięć dręczy cudne krwawe ciało...

Lat wiele przeszło w smutku i żałobie
Co nocy we śnie zjawiają się obie:

Chee żonę chwycić — z rąk mu się wywija,
Gonić nie może, bo tamta — jak żmija
Płacze mu nogi i syczy złowrogo.
Darmo się zrywa za żoną niebogą,
Niknie w mgławicy, on z jękiem się budzi
I łez strumieniem palący ból studzi.

Łzy też wyżarły wszelkie wzroku moce
Z za szarych mgławic ledwie świt migoce
Coraz to bledszy — słońca blaski gasną,
Opaska nocy tłumi światłość jasną.

Już nie odróżnia ranka od wieczora,
Znachora szuka, dusza jego chora.

Po rady posłów śle w sąsiednie kraje,
Garściami złota za leki rozdaje;
Dno już wyziera z książęcej skarboxy
A dzień nie wraca — książę w mrok wtrącony.

W gniewie się miota — lecz gniew nie pomoże
Nad wolą księcia, są wyroki Boże.

Raz przysłała w zamek żebraczka z oddali
I mówi księciu, że cud go ocali;

Z trzech córek jedna poświęcić się może:
 „Za siódmą rzeką, aż w dziesiątym borze
 Z pnia spróchniałego bije woda żywa,
 Gdy wodą z źródła kneź oczy pozmywa
 Światło mu słońka nowym blaskiem strzeli
 Duszę ze zgryzot oczyszcza anieli,
 Bo ona woda troski z myśli zbiera.
 Lecz źródła strzeże potworna chimera,
 Z księżniczek która czyteż się odważy
 Zaczerpnąć wody, gdy potwór na straży?
 A wody skutek tylko wtedy pewny
 Gdy kneź ją weźmie z ręki swojej knehny
 Bo skuteczności w wodzie siła tęga
 Z dotknięciem obcej ręki się rozprzęga”.

Wnet każda z córek zawołała szczerze:
 „Pójdę po wodę przez leśne rubierze!”
 „Córka rycerza jestem — mówi Jewa —
 Umiem broń użyć, ani się spodziewa
 Potwór jak mieczem ręka moja władnie,
 Wodę wywalczę — lub pochwycę zdradnie”.

I bieży prosto do zbrojowni księcia,
 Kołczan, łuk chwytą, miecz lekki z ujęcia,
 Piersi okrywa pozłacaną zbroją,
 A hełm nad czołem strusie pióra stroją
 Dzidę wysoką w prawej dzierży dłoni
 I ze zbrojowni precz do stajni goni,
 Wysoka, silna istny rycerz młody,
 Konia dosiada i z wiatrem w zawody,
 Mimo próśb ojca pognąła w doliny.

A dzbanek srebrny u pasa dziewczyny
 Dzwięczy jak dzwonek, gdy w pancerz uderza
 W takt biegu konia.

Wtem, leśna rubieża
 Krok zwolnić zmusza, coraz gęstsza puszcza
 Nawet spojrzenia wgląd swą niedopuszcza.

Co to? z konarów... to dyabelska sztuka...
 Twarz straszna patrzy i złowieszczą huka...
 Z prawa — wilk wyje i zęby wyszczerza...
 Z lewa — ogromna postać jak rycerza
 W ognistej zbroi, wyciąga ramiona
 Milowym kręgiem...

Ewa nastraszona
 Nie wie gdzie jechać, staje z lasu brzega
 Bo z każdej strony potwór jej zabiega...
 Miecz chwytą w rękę, wilka tnie na dwoje,
 On cały stoi! zęby szczerzy swoje
 A śmiech złowieszczy szerzy się po lesie,
 Coś klaszcze, huka, wichler echo niesie...
 Las cały w ruchu...

Dziw Jewę zdumiewa
 Bo idą na nią jakby żywe drzewa
 I z rąk zielonych, jak gradu pociski
 Spadają krople na włos knehny śliski
 Co z pod szyszaka jedwabiem się ściele
 Czarnym na plecy.

Jewa z razu śmieie
 Chciała poczynać, miecz swój w pochwę wkłada
 A dzidą mierzy w olbrzymiego dziada.
 Głową on sosny wyniosłe przerasta
 A na szyszaku buja mu się chwasta
 Z ognia i złota, pierś wstali pancerza,
 Księżniczka dzidą w serce mu uderza,
 Przebija zbroję — a on śmiechem bucha,
 Gębę rozdziawia od ucha do ucha

Jakby czeluśnie piekielnego kotła
W który kłęb żmij złych czarownica zmiotła...
Suną się z gęby z straszliwymi żądły
Do piersi Ewy...

Jużby ją przebodły
Lecz rumak strachem mar tych pokonany
Nie słucha Jewy, niepomny nagany,
Tył podał dziwom, kopnął się z kopyta
Aż oparł w zamku.

Zanim dzień zaświta
Rumiana z wstydu, kryje się w alkwowie
Butna księżniczka...

Cały dwór się dowie
O lękliwości...

Gorzej serce boli
Że wody niema. Nie osłodzi doli
Ojcu choremu, który cudu czeka...
Na wojsko pójdzie, bo to twór człowieka.
Lecz dziwne czary w tym zaklętym lesie...
Drży, choć już w domu, bronie z wstydem niesie
Drżącemi dłońmi zruca ciężką zbroję...
„O! dziwy lasu!... czary!... ja się boje!”

A książę duma, że hen, tam, daleko,
W dziesiątym borze aż za siódmą rzeką
Z pnia spruchniałego bije woda żywa
Pamięć zatapia, z ócz osłony zrywa...

Bożenny mądrość cały dwór wychwala.
Gdy Jewy powieść płynie jak wód fala,
Bożenna przeczy: Siostra brednie plecie,
Gdzieżby poczwary chodziły po świecie;
Dla ojca bajki fantastyczne tworzy

Więc dziwadłami zapełnia świat boży,
I potem sama w swoje baję wierzy
W myśli stwarzając olbrzymich rycerzy.“
Wsiada w kolaskę, a oddział wojenny
W szyku podąża przy boku Bożenny,
I wozy idą z spiżarnią, pościelą;
Może też długie tygodnie oddziela
Chwilę wyjazdu od powrotu z wodą,
Nawet dla knehny krowę dojną wiodą,
I rój służebnic, biegłego kucharza
Który wojakom różnem się odgraża
Gdy żarty stroją z fartucha, duchnicy. ¹⁾
Namioty niosą młodzi ochotnicy
I rozstawiają szybko w środku pola,
Gdy wódz wyprawy krzyknie gromko: „Hola“
Na nocne wczasy, lub na postój dzienny,
Z taką paradą szedł orszak Bożenny.
Siedm rzek przebrnęli — w nich wir pianą pluszcze
I dziewięć borów rozłostych jak puszcze,
Dziesiąty jeszcze niebieszczeje w dali,
Do krańców jego świtem dojechali.

Bór gęsty, wonny od sosen i kwieci,
Rosa do słońca brylantami świeci,
Wietrzyk wesoło gałązkami klaska.

W gęstwę zapuszcza się zwolna kolaska,
Lecz wkrótce staje — wzmogła się gęstwina
Że chyba topór drogę poprzecina,
Księżniczka dzieli poczet na połowę:
Z oddziałem pieszym wyruszy w dąbrowę
Konny zaś, w czujną straż tutaj zamieni.

¹⁾ Duchna, duchenka, nocna czapka (szlafmyca).

Kłębek jedwabiu wyjmuję z kieszeni
 Koniec o drzewo misternie zawleka
 Przy nim na straży zostawi człowieka
 Czujnego bardzo. Wierność jego znana,
 Wszebór jak ojca kocha księcia pana.
 Po nitce wrócą także samą drogą,
 Bez niej zabłądzić w takiej puszczy mogą,
 Z kolaski płaszcze, złożone węzłowia,
 Gdyby noc zaszła, sobie przygotowia,
 Skórę niedźwiedzią na posłanie w lesie
 I łoże z siatki świta za nią niesie.
 „Kto wie, jak długo zabawić się mogę“.
 Kołaczce, wino każe brać w tę drogę.
 Sama dzbanuszek złoty wiąże w pasie,
 Z łańcuszkiem trąbkę srebrną wdziewa na się,
 Gdy tak już całkiem do drogi gotowa,
 Zwraca się jeszcze, a gładka jej mowa
 W uszy Wszebora i jego czeladzi
 Płynie jak potok i rozumnie radzi
 Co mają czynić: „Jak oka w swej głowie
 Strzec nie jedwabiu, gdy róg się odzwie
 W srebrnej jej trąbce misternie zakuty,
 Dowód że księżne los zaškoczył luty,
 Wszebór wojaków znów wyśle połowę
 Za śladem nitki w nieznaną dąbrowę.
 Teraz niech stoją, ruszyć się nie ważą
 Ona w bór idzie pod Wiesława strażą.
 Główką skinęła, a przed nią na przedzie
 Wiesław z toporem konika jej wiedzie
 I tnie konary, gdy w gąszcz się uchwyca,
 Zielenią drogę ściele przed dziewczicą.
 Lecz oczu na nią podnieść się nie waży
 On w sercu nosi odbicie jej twarzy.

Przybył w huf księcia, z oddalonej strony
 Na służbę ojeu, córką zachwycony.

Bożenna chłodna, do obecnej pory
 Nieświadomości dawała pozory,
 Lecz gdy iść musi w to leśne bezdroże
 Wie, że ramieniu jego ufać może,
 Sam pierwszej legnie nim ją tknąć pozwoli,
 Usługi jego użyje w złej doli.
 Lecz obietnicą żadną się nie wiąże
 Rycerz w jej służbę, jeśli mąż to książe.
 Dość dlań zaszczytu, że na jedną dobę
 Strzec może wiernie godną jej osobę...

I teraz, w myśli mądre snuje plany,
 Gdy oddział straży przy jej boku gnany
 Trzebi gęstwinę na rozkaz Wiesława,
 Który rozkoszą służby się napawa.

Idą tak, idą, aż w południa skwary
 Doszli nareszcie do dzikiej pieczary.
 Wejście, powoje różnobarwną tęczę,
 Kielichów wonnych jak girlandą wieńczą,
 Chłód z wejścia bije wilgotny a miły,
 Górą konary liść dębu rozwiły
 Słońcem przetkany.

Knehna skoczy z siodła,
 Zostawia orszak, który z sobą wiodła
 Sama z dzbanuszkim w środek groty kroczy.
 Z razu z ciemnością jej, oswaja oczy,
 Wreszcie z radością pień dębu spostrzega,
 Próżny we środku, tylko w koło brzegu
 Kora go trzyma, po której wciąż spływa
 Woda przejrzysta, źródłana, prawdziwa,
 Pień dębu tworzy jakby cębowiny.

Radością serce zabiło dziewczyny.
Dzbanek odczepia prędziutko od pasa
I wodę czerpie—gdy już wody masa
W górę podnosi...

W tem, łapa kudłata
Białą jak lilia dłoń knehny przygniata,
Zwierz straszny ryczy i ludzkiemi słowy
Wzbrania wziąć dzbanek z wodą już gotowy,
Wśród ryku wrzeszczy: „Piękną jesteś księżno
Dam wodę, za to będziesz mi zamężną.
A dzisiaj całus daj na zrękowiny,
Potem do zamku przyjdę w odwiedziny,
Starego księcia o ciebie poproszę.
Tylu rycerzom rozdawałaś kosze,
Którzy w małżeńskie chcieli brać objęcia,
Teraz niedźwiedzia dasz ojcu za zięcia.
Niebój się pani, niedźwiedź czule kocha
Gdy żona dobra, posłuszna, nie płocha“.

Wstrząsa się knehna, rękę wyrwać stara
Z łapy niedźwiedzia...

Poświęcenia miara
Nawet dla córki granice wyznacza...
Białe swe liczko tulić do kudłacza...
I ślubnym związkiem ma z nim wiązać dłonie
Na życie całe?... O! nie! to nie! to nie!!

Ojciec ją kocha, nie żąda ofiary,
Przed nią gmach życia, a ojciec już stary
Ma krótkie lata... Umrze gdy się dowie
Że za wzrok jego potwór w jej alkwie...
Zresztą, z kąd pewność, że niedźwiedź nie łudzi
Da wodę zdrowia?... Może śmiech u ludzi
W nagrodę całą za czyn swój pozyska?...
Patrzy—kły straszne wyzieraają z pyska,

Ślina się toczy... Rękę mu wydziera,
A wodę z dzbanka wylewa przechera,
Powrotną drogę do studni zagradza:
„Wróc z próżnym panno tutaj moja władza“.

Więc poczet wraca—panna jedwab' mota,
Rozum nie pomógł, spotkała sromota.
Nie chciała wierzyć w żadne cuda Boże...
Możeby wrócić?...

Nie, wrócić nie może.
Lecz tajemnicy nikomu nie zwierza
I nie puściła żadnego rycerza
Do ciemnej groty. Słuchać to ich prawo,
Więc do odwrotu nakłania ich żwawo.
Z próżnym dzbanuszkim wraca do zameczyska
Smutna, bo ojciec wzroku nie odzyska.

A książę дума: Że „hen, tam daleko
W dziesiątym borze aż za siódmą rzeką
Z pnia spróchniałego bije woda żywa
Wzrok słaby leczy a zgryzoty zmywa“.
Smutne ma czoło, jak chmura gradowa,
Rząd zaniedbuje, od córek się chowa.

Jadzia najmłodsza patrzy w ojca oczy
Coraz mętniejsze—smutek pierś mu tłoczy,
Nawet jej piosnka uśmiechu nie wzbudzi,
Gdy radę skończy ucieka od ludzi.
Sam jeden дума, niby śni na jawie
Wsparty na dłoni.

„Ojca ja zostawię
Myśli dziewczątka—siostry mu usłużą
A ja po wodę pójde z konwią dużą,

Bóg dopomoże, chociaż to daleko
 W dziesiątym borze, aż za siódmą rzeką,
 Z pnia spróchniałego bije woda żywa
 Oczy uzdrawia, smutek z nią odpływa...
 Strój prosty wezmę jak wiejska dziewczyna“.

Radę cnej wróżki sobie przypomina.
 Bo choć żebraczką cały dwór ją zowie
 Jadzia odczuła wróżkę w każdym słowie
 Dla wszystkich zgrzebna kryła ją koszula,
 Jadzię zazwyczaj biedota rozczula,
 Więc z oczu wróżki promieniste blaski
 Nad głową Jadzi kładą znamię łaski,
 Chwilę zabłysła jak promienna zorza
 A w serce dziecka wsiąkła miłość Boża
 Z słów mądrej wróżki, gdy świetlaną dłonią
 Czoła jej tknęła. Rady jej myśl gonią:
 „Gdy wielkie dzieło ktokolwiek zamierza
 Zawsze poczynać winien od pacierza.
 Dłoń, woli Bożej, nie zmoże niczyja,
 Pokora tylko moc losów przebija“.
 Więc klęka skromnie i składa rączyny
 Modląc się rzewnie:

„Boże mój jedyny

Poratuj ojca, kraj cały w nieładzie
 Gdy król na łożu boleści się kładzie.
 Nie ja Cię Panie mam wspierać radami
 Lecz bądź miłościw, zmiłuj się nad nami.
 Proch drobny jestem, lecz Twą wola Boże
 Mą drobną ręką ojca zbawić może.
 Ja pójdę Panie o proszonym chlebie,
 Za chleb odśluzę by ubłagać Ciebie,
 Po stromych ścieżkach pójdę bosą nogą,
 Ciernie, gdy każesz, stopy mi kłuć mogą

Daj zdrowie ojcu miłościwy Panie,
 Nademną wola Twoja niech się stanie“.

Idzie do księcia, do kolan się tuli:
 „Błogosław tatku twej małej Jadziuli
 Idę po wodę“.

„Gdzie? w leśne rubierze?
 Zginiesz dzieciно!“

„Tatku Bóg mnie strzeże,
 Bez Jego woli włos z głowy nie spadnie
 By człowiek życie tylko wiódł przykładnie.
 „Któż idzie z tobą?“

„W modlitwie podpora“.
 „Nie pójdziesz sama, weź z sobą Wszebora“.
 „Jak zechcesz Tatku, lecz w prostej odzieży,
 Łatwiej człek skromny drogę swą przebieży.“

Książę uwierzyć w cud prawie gotowy,
 Córka mu spokój wlewa swymi słowy.
 A dźwiękiem głosu matkę przypomina
 Ta jego słodka, najmłodsza dziewczyna.
 Więc na jej głowie składa ręce obie,
 Pierwszy raz w życiu zapomniał o sobie
 A z głębi duszy prosi niebios Pana
 By zdrowo przyszła dziecina kochana,
 Niech ślepym będzie, kiedy Bóg tak każe,
 Cichem poddaniem winy swoje zmaże.
 Byleby tylko ta najdroższa głowa.
 Trosk nie zaznała i wróciła zdrowa,
 Lecz isć nie broni, może i dostanie
 Cudownej wody, przez wielkie kochanie,
 Tylko nad głową jej kreśli znak krzyża
 I pychę ziemską przed pokorą zniża.
 Rozbiera dziecka swego mądre słowa;

„Gdzie to się mądrość Chrystusowa chowa,
Takato wąta a siłę ma ducha
Ta jego słodka, najmłodsza dziewczucha.

Miłość i wierność wiele w życiu mogą.

Jadzia i Wszebór poszli znów tą drogą
Którą, z Bożenną, rycerze wspaniali
Butnie jechali.

Oni się imali

Robót po drodze, za to im dawano
Nocleg i życie. Gromadzili siano,
To znowu sierpem żęli żrałe żyta,

Gdzie stąpi bosu knehna pracowita
Krew z stóp czerwona rumieni ścierniska
Lecz z oczu radość promieniami tryska
Nawet nie czuje, że rozrania nogę
Bo w duszy myśli:

„Może dopomogę

Ojcu mojemu wskrzesić martwe oczy
I zruć smutek co mu serce tłoczy.
Gdy zczeznę, starsze, dwie córki zostaną
Ojczyzna zdrowia potrzebuje pana,
Gdy pan choruje, dzieją się bezprawia,
Bo pan swą władzę drugim pozostawia
Wtedy słabszego mogą zgnieść bogaci...
Gdy ja zmarnięję nikt na tem nie straci“.

Starzec i dziecię długo iść musieli,
Od złej przygody strzegli ich anieli.
Do każdej rzeki miesiąc szli z okładem,
Błogosławieństwo dążyło ich śladem.
Wszędzie pociechę wnosili ze sobą,

Pokój nastawał z przybycia ich doba.
Wszebór choroby lekami wystrasza,
A gdy nie pomógł, to Jadziunia nasza
Słowem pociechy łagodzi rozpacze.
Otuchę wlewa, nad niedolą płacze.
Znów spracowanym ulżyła ich praca.
Gdzie kłótnia gości — zgodę im powraca
Wspomnienie słodkich nauk Zbawiciela.
Nieufnych w siły — zachęta ośmiela.
Nieoświeconym dobrą radą służą,
I sami życia mądrość wzięli dużą
W codziennej pracy z klasą nędzną, biedną,
Bo zrozumieli, jak zasługi bledną
Dumnych bogaczów, których w wielkiej pysze
Zadowolenie z dostatków kołysze.
I że najlepiej temu jest na świecie,
Kto troskę własną z myśli swojej zmiecie
Troską o drugich, wtedy bieg żywota
Równo jak nitka na kłębek się mota,
Miłości bliźnich złote blaski bierze
I w późną starość serce chowa świeże,
Z którego żywej enoty bije źródło
Bo na niedolę bratnią nie wychłódko.
Gdy takie serce posiadają młodzi
Naród znękany w siłę się odrodzi.

Lecz wróżka prawi, że hen, tam, daleko
W dziesiątym borze aż za siódmą rzeką
Z pnia spróchniałego płynie woda żywa
Wzrok martwy wskrzesza, a sumienie zmywa.

Więc idą, idą aż po roku czasu
Do dziesiątego doszli wreszcie lasu.
Darli się długo przez zrosłe konary
Aż wreszcie Jadzia doszła do pieczary,

Widzi pień dębu, z niego strumień świeży
Szmerząc, jak dyament roztopiony bieży.
Konewkę z pleców zesuwa na ziemię,
Woda w nią spływa.

A przy studni drzemie
Niedźwiedź kudłaty, to jego jest woda.
„Trzeba go zbudzić — myśli Jadzia młoda —
Kradziona woda ojcu nie pomoże.
Jeśli mnie pożre?... Ha! wyroki Boże!“...
A że wzgląd miała i na stwór wszelaki,
W domu najdziksze gładziła szczeniaki,
Więc kładzie rękę na głowie potwora
I mówi słodko: „Dobrego wieczora
Życzeń niedźwiedziu, daj wody ze źródła
Ślepotą ojca po nią mnie przywiodła.“

Ruszył się niedźwiedź z swego legowiska
Ziewa tak mocno, że aż woda pryska,
Zęby wyszczerza, ale się nie gniwa,
Oczy wytrzeszcza z tak wielkiego dziwa:
Dziewczątka drobne, a odwagi pełne
A takie słodkie i takie rzetelne.

Więc wstał na łapy, niby się uśmiecha
Po ludzku mówiąc: „Uwieńczy pociecha
Twoją wędrówkę z tak dalekiej strony,
Lecz gdy twój dzbanek będzie napełniony
Nie ruszysz z miejsca, aż mi przyrzeczona
Księżniczka Jadzia będzie jako żona.
A w obietnicę dopiero uwierzę
Jeśli mnie Jadzia ucałuje szczerze.“

Od wody żywej wskrzesną ojca oczy
Z wielką radością do niedźwiedzia skoczy,
Sprawek małżeńskich wcale nieświadoma

Szyję mu chwyta obiema rękoma
W kudły całuje z ochotnego serca.
W tem cud! pod ręką futro się rozwierca.
Patrzy — a przed nią piękny jak pogoda
Królewicz stoi, rękę grzecznie poda,
Z wdzięcznością ściska i mówi: „Księżniczko
Dobraś jak anioł, jak róża tve liczko,
Całusem zdjęłaś ze mnie urok luty
W który przez zemstę zostałem zakuty.“

Zgrzeszyłem kiedyś, czarownica wściekła
W niedźwiedzią paszczę lico me zarzekła,
Skórą odziewa i więzi w pieczarze,
Ciężką pokutą swawolę mą karze.
I jak na drwiny, cień rzuca nadziei,
Że pięć lat tylko zostanę w tej kniei.
Jeśli, przyszedłszy tu, młoda kobita
Pocałowaniem mnie szczerem powita.

Gdy jednak żadna nie zmoże niechęci,
Życie me całe swej zemście poświęci.

Taki był wyrok, czekałem, niestety.
Cztery lat młode wchodziły kobiety,
Proszę o całus, ale każda zmyka
Ujrzawszy straszną postać całownika.

Nie spodziewała się jędza złośliwa
Że na świat czasem anioł biały spływa,
W postaci ludzkiej, czysty jak ta woda.
Lecz jeśli zechcesz mnie księżniczko młoda
Jako małżonka zatrzymać w swym domu
To tajemnicy nie zwierzaj nikomu
Przez jeden roczek, dopóki z pokuty
Z skóry niedźwiedziej nie będę rozkuty.
Niech mnie potworem cały dwór twój zowie
A królewiczem będę w twej alkwie.“

„Dobrze — powiada — królewiczu młody,
Lecz zostaw miesiąc panińskiej swobody
Pierwej tatusio wzrok odzyskać musi,
Nie weźnie bowiem z rąk swojej córusi
Wody źródlanej, jeśli się postara
O moją rękę tak straszna poczwara.“

Jadzia Wszebora woła do pomocy,
Dźwigają konew, wynoszą z pieczary
Spieszą dnie całe, ledwie spoczną w nocy
Pod drzewem w lesie; zaraz Wszebór stary
Szuka dla Jadzi mchowego posłania
Sam za leszczyną leśną się ugania;
Orzechów w torbę nałuska obficie,
Wieczerzę mają, byle wstrzymać życie,
Bo dziewięć borów z powrotem przejść muszą,
Siedm rzek przepłynąć, nim dojdą z daleka.
Do swego zamku. Byleby dojść z duszą,
Książę tam tęskni, milej córki czeka.

Jutrznia różowa ledwie mroki strąca
Jadzia już wstaje, w pośpiechu gorąca,
Boga pochwali i umyta rosą
Budzi Wszebora; biegnie stopą bosą
A gdzie cierń krwi jej kropelkę uroni
Kwiatek zakwita biały, pełen woni,
Niby konwalia, co dzwonki drobnymi
Cudowność bożą zaświadcza na ziemi.

Wreszcie do zamku przyszli wyczerpani
Dworzanie zrazu nie poznali pani,
Lecz psy się łaszą u stóp dobrej Jadzi,
Więc ją poznali, z powrotu jej radzi.
Jadzia ich wita, główkę młodą skłania,
Lecz ją do ojca rwie siła kochania

I żywej wody uronić się boi.

Konew z Wszeborem wnoszą do podwoi
Pańskiego zamku, tu chusteczkę zmoczy
I ojcu zmywa zapłakane oczy.

Radośnie serce zabiło u księcia,
Przewidział nagle, córkę wziął w objęcia,
„Jadziuniu moja, myślałem dziecino
Że w łzach za tobą całkiem mi wypłyną
Te biedne oczy, a tu słońce wraca.

Lecz ty strudzona, długa droga, praca.“
„Nie, nie tatusiu, prędko się poprawię
Gdy krzynkę spoczną. Wszebora zostawię
Pod twą opieką, on tatku jedyny
Był przyjacielem sługą twej dzieciny,
Jego opieka i jego to rada
Doprowadziła mnie aż tak daleko
Do króla grotty co źródło posiada
W dziesiątym borze aż za siódmą rzeką,
Jego nagroda niechaj nie ominie
Dla mnie radością, że widzę twe oczy.
Szczęścia wystarczy twej trzeciej dziewczynie
Gdy kraj i ciebie swym blaskiem otoczy.“

Tydzień szczęśliwy na zamku upływa,
Książę pan zdrowy, zwołuje naradę,
Wśród sióstr kochanych Jadziunia szczęśliwa,
Tęskniły za nią, z powrotu jej rade,
Karmią ją, stroją i co chwila pieszczą.
Jej serce trwogą drży często złowieszczą.
Jadzia znów nosi książęce swe szaty
Ale ją troska królewicz kudłaty.
Tajemnic nie zna jej dusza przeczysta,
A ojciec nie wie z czyich wód korzysta.

Kocha potwora, bo za jego wolą
 Ojca z ślepoty zdroje wód wyzwola.
 Przytem, tak piękny był tę jedną chwilę
 Gdy uścisnęła, a on spojrział mile.
 Lecz jako przyszła przyjaciółka, żona
 Na myśl pogardy już upokorzona,
 Gdy go zobaczą w ohydnej postaci
 Szacunek bliskich jej nazawsze straci.
 Więc tylko modli się gorąco szczerze,
 Bogu poleca, siły czerpie w wierze.
 Lecz ojciec? jakże on przyjmie konkury
 Niedźwiedzia do swej ukochanej córzy?
 Ha! zobaczmy, jakoś los ułoży,
 Niechaj się spełni, święty wyrok Boży.
 Gdy tak niepokój trapi serce Jadzi
 Książę z radnymi o swem państwie radzi
 W tem — u bram trąbią trębacze w mosiądze
 Z trzaskiem spadają zwodzone wrzesciądze
 Bo król sąsiedni śle do księcia posły,
 Które i dary wspaniałe przyniosły.
 Służba na oścież podwoje odmyka
 Z licznym orszakiem wpuszcza posłannika
 Do srebrnej sali, gdzie tron stoi z złota,
 W którym precudna, rzeźbiarska robota
 Przeróżne dziwy jak w wosku wyryła:
 W oparciu — wojska szyk cały ma bryła,
 A zaś nad głową oko Opatrzności
 Mądrze na salę patrzy z wysokości
 Zamiast poręczy, stoją lwy, a grzywa
 Złota i bujna po bokach im spływa.
 Na lwach tych siedząc kneź opiera dłonie
 Postacią całą w fałdach płaszcza łąnie,
 Który, purpurą do stóp z ramion płynie,

Taki czerwony jak ten żar w kominie.

Na siwych włosach liście brylantowe
 Jasną koroną wieńczą księcia głowę.

Przy samym tronie trzy nadobne córzy
 Na orszak dworzan spoglądają z góry.

Posł się kłania i mówić zaczyna:
 „Król pan poleca księciu swego syna,
 Prosi, by trzecia, najmłodsza twa księżna.
 Jadwigą zwana była mu zameżna.
 Syn wprowadzie króla odmienny od ludzi
 Lecz przymiotami miłość w sercach budzi.
 Księżniczka Jadzia przyrzekła być żoną
 Więc nas w poselstwie teraz wyprawiono,
 Królewicz zaraz tuż za nami jedzie.“

Aż tu znów orszak, a na samym przedzie
 Niedźwiedź podąża.

W strachu Jadzia nasza,
 Zdumienie dworzan bardziej ją przestrasza.
 Drży całym ciałem, do ojca się tuli,
 Wzywa z za grobu ducha swej matuli,
 Dała mu słowo, prawda lecz dziś widzi
 Jak dwór książęcy z takich swatów szydzi.
 A książę stary, jakby wrósł w podłogę
 Na mowę posłów...

„Wreszcie: „Ja nie mogę!
 Jadziu! — wykrzyknął — dziecko ukochane
 Zezwolić tobie na taką zamianę,
 Za stare oczy dawać życie młode!
 Z twej obietnicy łatwo cię wywiode,
 Oczy wyłupię moją ręką własną
 Za twą swobodę niechaj zaraz zgasną.“

Ma ojciec tracić uzdrowione oczy!
 Na taką groźbę Jadzia z miejsca skoczy

I do niedźwiedzia grzecznie się przybliża,
 Bierze za łapę, prowadzi do sali,
 Ale, jak może trzyma się najdalej.
 Staje przed ojcem, główkę złotą zniża
 I mówi: „Ojciec pobłogosławił śluby,
 On mąż wybrany, zatem dla mnie luby,
 Słowo mu dałam, i dochowam wiary,
 On tak jak wszyscy, lecz gnębią go czary,
 Kocham go tatku“.

„O Wszechmocny Boże
 Czyż to podobna kochać się w potworze!“
 Zawołał książę bólem zdruzgotany,
 Uciekł do siebie, rzucił świetne pany,
 Bo też mu gorzkich potok z oczu spływa,
 A Jadzi nagle błyska myśl pocziwa,
 Sekret zachowa dla całego świata
 Lecz ojca smutkiem ona nie pomiata
 Więc prawdę szczerą ojcu dziś wypowi
 Kłamstwem się nie da skusić niedźwiedziowi.

Za księciem biegnie, u kolan mu klęka
 I mówi: „Tatku darmo twa udręka
 On tak jak wszyscy, tylko tatku drogi
 Za grzech tam jakiś złe go gnębią bogi,
 W skórę niedźwiedzia na pięć lat zakuty
 Przez czarownicy srogiej wyrok luty.

Za wodę tatku uściskałam szczerze,
 I krótką chwilę człowiek był nie zwierze.
 Uścisk ten czary zdjął z całego życia
 Rok jeszcze kary ma on do odbycia
 W obliczu świata. Ale zruć może
 Skórę niedźwiedzia gdy będziemy sami,

Lecz wiedzieć o tem nie mogą na dworze
 Zatem mnie zaklął świętymi słowami

Bym nie zwierzała sekretu nikomu,
 Więc nie mówiłam wróciwszy do domu,
 Gdyby przed czasem stracił skórę zwierza
 Moc czarownicy znów karę wymierza.

Ciebie jednego zwodzić mi nie radzi
 Miłości pełne serce twojej Jadzi“.

I szyję ojca rękami oplata,
 Już ją nie razi swobody utrata:

„Nie smuć się tatku, odbądźmy wesele,
 Widzisz żem rada, zamaż idę śmieie.“

Kneź ustępuje, sprasza radne pany
 Ucztę zarządza. Lecz ciężko stroskany.

Nawet nie cieszy go wielka parada
 Z jaką Miś dary narzeczonej składa:

Dwóch paziów w błękit przyodziani cali
 Złote trzewiczki Jadzi nakładali,
 A w purpurowym drudzy aksamicie
 Płaszcz z gronostai dali na okrycie,
 Czterech w atlasie jak kwiecie tiałkowe
 Złoty baldachim podnieśli nad głowę.
 I tak ją wiodą aż do bram kościoła
 Gdzie ksiądz niedźwiedzia ślub z Jadzią obwoła.

Po ceremonii, do uczty w tej chwili
 Zasiedli goście. Z smutku się upili,
 Tylko sam książę nie przełknąć nie może
 Modli się w duchu: „Wszechmogący Boże!
 Ratuj mi dziecko!“ Wtedy myśl mu błyska
 Gdy do alkowy wiodą niedźwiedziska,
 Jadzię wstrzymuje, a sam pomocnika
 Bierze ze sobą, za zięciem pomyka.

Niedźwiedź powoli skórę swą rozpina
 Kneź w nim poznaje króla Węgrów syna

Który swą żonę, temu cztery lata
 Porzucił z dziećmi i poszedł w kraj świata,
 I nikt nie wiedział jakie jego dzieje;
 Jedni mówili: — za morzem szaleje,
 Inni — że żona jego znała czary
 I w zemście postać dała mu poczwary.

W gniew wpada książę, chce zabić zbrodniarza
 Który podstępem dom jego znieważa.
 W tem, wielka światłość olśniewa mu oczy
 Wróżka się zjawia, krąg światła zatoczy
 W którym leciuchne widmo swojej żony,
 Broniące mordu, widzi pan strwożony...

A w duży komin, gdzie zaś kłoda płonie
 Skórę niedźwiedzia, którą pierwej w dłonie
 Chwycała wróżka, ciska w żrące żary,
 Do królewicza mówiąc z groźbą kary:
 „Żeś zdradził żonę i opuścił dzieci
 Z kraju cię wygnał wyrok pięcioleci
 A że twe serce wciąż grzeszyć zamierza
 Skryła cię skóra kudłatego zwierza.

Uroki przysły pod uściskiem dziecka.
 Zamiast wdzięczności, tobie myśl zdradziecka
 Przyszła oszukać dziewczę to niewinne
 Kłamliwym związkiem, i zhańbić rodzinę.
 Zbyt małą karą śmierć za taką zbrodnię,
 Nietylko postać, duszę twą zwyrodnię,
 Stracisz jej znamie, węża weźmiesz postać
 I na wiek wieków płazem musisz zostać.
 Głos twój ułudny — w syk węża zamienię,
 Zwodzi niewinność tylko gadów plemię.
 Kto hańbą płaci przeczyste kochanie
 Ten podłym płazem na zawsze zostanie,
 Gdy zbrodnią duszę człowieczą zatraci

Nigdy nie wróci do ludzkiej postaci.
 Nawet modlitwa najświętszego z ludzi
 Zgadzonej duszy duchowo nie zbudzi.
 Czołgać się będziesz wśród błot i pokrzywy
 Groźny wszem tworom, sobie obrzydliwy
 Żar słońca zimnej krwi twojej nie rozgrzeje
 W wieczność zupełnie utracisz nadzieję.
 Jeśli na drogę wpętniesz kiedy z haszczy
 Przechodzeń stopą ciało twe rozplaszczy
 Bronić się będziesz żądłem jadowitem
 Zdrada, nienawiść staną się twym bytem!
 A gdy twój żywot niekzemny się zetrze
 Tchu ostatniego nie przyjmie powietrze
 Nawet piekielnej smoły czarny war!
 Wytrąci cię z koła swoich kar!!!
 Dusza twa ludzka rozprysła się w pył
 Zwodniczem ciałem będziesz w błocie gnił!!!

Tu groźna wróżka wzniosła jasne ręce,
 Królewicz upadł i zwił się w męcę
 Aż młode ciało weszło w węża kręgi...
 Uciekał w ogród... w ucieczce brał cięgi
 Bicy hajduków z książęcej czeladzi,
 Gnali w zawody, który go zagładzi.

Gdy krzyk pogoni w ogrodzie rozbrzmiewa
 Jadzia wybiega, patrzy między drzewa.
 Jej narzeczony w wężowej postaci
 Pod biczów cięciem niemal życie traci,
 Pogoń wstrzymuje i nędznika broni...
 Z sunął się w rzekę i ukrył w głąb toni
 Dopiero wyrzał z wody z drugiej strony
 Wypłynął na brzeg sunąc wyprężony.

A dobrej Jadzi nawet zdrajcy szkoda,
Wszak ojcu zdrowie dała jego woda,
Chce duszę zbawić, raz zdjęła uroki
Może z węzowej uwolni powłoki,
Raz go zbawiła, zbawi go raz drugi.

Więc woła panny ze swojej posługi
Na drugą stronę płynąć w łodzi każe
I szuka węża aż w głębokim jarze.

Wreszcie znajduje, gdy wzgięte pierścienie
Zdusił młodziutkie, wystraszone szczenie
I przed pożarciem żądłem je przeraża,
Od okrucieństwa chce wstrzymać zbrodniarza
„Jak zbawić ciebie,“ woła Jadzia nasza
A wąż ją żądłem i sykiem odstrasza.

Wtedy cna wróżka staje na jej drodze
Z współczuciem patrzy w oczy swej niebodze
I mówi: „Jadziu, zostaw go w spokoju
Obłudnik nie wart ani chwili znoju,
Twe poświęcenie zbawić go nie może
Bo praw do niego nie masz wielki Boże,
On żonę ślubną, dzieci rzucił w domu
Ciebie chciał zhańbić. Niemiły nikomu
Gadem żyć będzie, jak obmierzała żmija.
Teraz go litość nie zbawi niczyja.
Ty wróc do kraju, niech twa wierna praca
Ludowi twemu ciężki los ozłaca.
Służbą krajową radość się zdobywa,
Ty szczęściem drugich możesz być szczęśliwa.

Jadzia ją słucha, ociera z łez oczy
I znaną drogą w swoje strony kroczy.

Do zamku wraca, a tu smutne dzwony
Głoszą skon księcia, naród zrozpaczony
Nie wie kto rządy w kraju sprawiać będzie
Tymczasem nieład zakrada się wszędzie.
Wojsko za Jewą głosuje na księżnę
A senat mądrą chce obrać Bożennę.
Gdy w kraju mocno wadzą się bogaci
Biedniejszy naród zwykle na tem traci.

Wtem Wszebór spostrzegł Jadzię w progu bramy
I woła: „Księżnę! księżnę naszą mamy!
Przybywa w porę, niechaj rządzi krajem
Kocha lud, my ją kochać będziemy wzajem.“
Więc senat, wojsko, wszyscy zrozumieli,
Że im księżniczkę wrócili anieli.
Koronę, berło pod stopy jej składa
Starego księcia zaufana rada.

A Jadzia czoło pochyła w zadumie;
„Bożenna rządy najlepiej rozumie
A Ewa granic państwa niechaj strzeże
Bo ją słuchają najchętniej rycerze.
Mnie rząd zostawcie najbiedniejszych ludzi,
Których los gnębi, ciężka praca trudzi,
Gdy sprawiedliwość biednym doli doda,
W całym narodzie zapanuje zgoda,
Siostry! panowie! bądźmy w zgodzie szczerzy,
Nim wola ludu rządy nam powierzy.

Siostry, panowie, przyklaskują Jadzi
I uczta zgodę idą święcić radzi.

Mnie zaproszono, więc była Grzędzima,
Marcypan jadła, popijała wina,
Po brodzie ciekło — pusto było w gębie

Choć w nią wpadały pieczone gołębie.
 Żułam rozliczne, drogocenne jada,
 Lecz z nich kruszyna do gardła nie wpadła
 I nawet smaku nie chwyciła ślina.
 Jak w dzień przy pracy snów się zapomina.

Tak swoją bajkę skończyła Grzędzina.

A że już późno, panicz przypomina,
 Siostrę chce zabrać.

Przedtem jabłek sito
 Rządyczni stawia—prosi by przepito
 Słodziutkim miodem. Trójniak jej sycenia,
 Wiejskie gosposie, niby od niechcienia
 Drobnymi hausty popijają z cicha
 Aż dno wyziera z pustego kielicha;
 Końcem fartucha ocierają usta.
 A jabłka, młodzież rozechwyciła pusta.

Panienka, szubkę ciepłą, z futrem bierze,
 Dobranoc mówi i dziękuje szczerze,
 Wychodzi z bratem, wtedy czeladź cała
 Rusza do kołków gdzie płaszcze wieszała,
 Każdy za kożuch lub siermięgę chwyta.

Kołyny świtka z białej wełny szyta,
 Zgrabnie skrojona przez wioski tej krawca
 Chwalić ją musi każdy kroju znawca.
 Długa po kostki, zręcznie wpada w pasie,
 Dołem szeroko poła zakłada się,
 By mróz nie doszedł, a krajka wzorzysta
 Cienki stan ściska jak obręcz kolistą.
 Kieszeń, szwy wszystkie dwa sznurki okola,
 Tuż obok siebie jak ozdoby poła
 Na łanach pszennych, lub żytnich widziecie

Takie na świtce Kołyny wyszycie:
 Jeden bławatem sznureczek się mieni,
 Drugi ma barwę makowej czerwieni,
 Krąg z obu świtek do koła obiega
 Górą i dołem od brzegą, do brzegą.

Taka w niej smukła, jak topola młoda
 A szalisowy zawój krasy doda,
 Gdy go w zakładki złożywszy uroczę,
 Dwa końce zwiąże pod jasne warkoczce.
 Zrałych zbóż barwą płyną za kolana,
 A dołem na nich życzka zawiązana.

Tak ustrojona, wszystkim się pokłoni,
 Matka jak w tęczę patrzy w twarz swej doni.
 Grzędzinie obie kłaniają się nisko,
 Wychodzą pierwsze bo chata nie blisko,

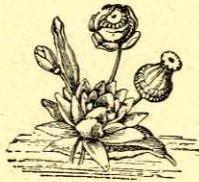
Za niemi Semen, z młodzieńczej ochoty
 Matki i córki odnosi roboty.

Taki pokorny, cichy i nieśmiały
 Mileząc dochodzi do chaty powały,
 Lecz gdy w cień weszli, matka we drzwi wchodzi,
 Na progu sami zostają się młodzi
 Semen wnet dziewczęę chwyta, trzyma w pasie,
 Usta na szyi pocałunkiem pasie.

Umyka z ramion, niewinność dziewczęca
 Kołynę zrazu do śmiałka zniechęca,
 Zmieszana, dłońmi oczęta zakrywa,
 Ale zarazem czuje że szczęśliwa,
 Nieznana błogość w sercu jej się rodzi.

Tak to zazwyczaj kochają się młodzi.
Zanim potęga miłości przeminie
Rozkoszą całus chłopcu i dziewczynie.

Serce ich pyta: „Co matka dziś powie?
Czy na ślub prędko zezwolą ojcowie?...



Sierota.

Jęczy, ach, jęczy dzwon pogrzebowy,
Matulę w skrzyni sosnowej niosą,
Za trumną stopą podąża bosą
Mały Pawełek, pastuch wioskowy.

Zdarty kapelusz trzyma bezwiednie,
Przyciska serce słomianem kołem —
Tak z piersi rwie się... Nad smutnem czołem
Wiatr miota włosom, twarz drobna blednie.

Z zimna? czy z żalu? chłopak sam nie wie,
Bo myśl zmacona—lecz pierś mu pęka,
Jakby w nią tłukła żelazna ręka,
A w głębi pali straszne żarzewie.

„Niema matuli! jakże to będzie?
Kto mi koszulę uszyje nową?
Kto się zatroska nad moją głową?
Kto przy wieczery ze mną zasiędzie?

„Komu ja z pola szczawiu przyniosę?
Komu nazbieram suchych gałęzi?
Śmierć sroga matkę w tej skrzyni więzi,
Ta, co w obrazie ostrą ma kosę.“

Widział ją Paweł w wiejskim kościele,
Zawsze ze strachem odwracał oczy,
A teraz czuje, że przy nim kroczy,
Zeszła z ołtarza—podąża śmieie.

Gdy wśród Mszy zadrżał, matka tuliła
Przelekłe chłopię, on brał jej rękę.
I przy jej boku odganiał mękę
Strachu przed śmiercią... Dziś rozdzieliła.

„Weź mnie, matulu, do swojej skrzyni,
Niechże mnie z tobą zakopią razem,
Gdy skryjesz przed nią, jak przed obrazem,
Ona nic złego nam nie uczyni...

„Nie zawołałaś mnie, matko, z pola.
Gdy cię śmierć w chacie kładła do truny!..“
Łkają boleśnie serdeczne stróny,
A w dzwonach jęczy sieroca dola.

Za matki trumną w dół tejże chwili
Paweł chciał wskoczyć—wstrzymano chłopię.
„O, ja się matko sam w grób twój wkopię!“
Szeptał cichutko, gdy prowadzili.

Syn komornicy legł w kącie z płaczem,
Lecz sen spłakanych oczu nie klei,
Bo dziecię żywi skrawek nadziei:
Gdy wszyscy usną —wyjdzie cichaczem.

Na cmentarz wiejski pędem poleci
I do mogiły przytuli głowę,

Bo tam wkopali duszy połowę,
Tam anioł gwiazdą z nieba zaświeci.

A tutaj ciemno—z cudzych alkierzy
Ostre chrapanie uszy rozdziera—
Śmierć z oczodołów strachem spoziera,
Ostrzem swej kosy w pierś jego mierzy.

Cicho powstaje i w koszulinie
Na chłodną rosę wybiega z chaty,
Progu pilnuje burek kudłaty—
Paweł z pieśczołą stróża ominie.

Drobną rączyną oczy przeciera,
Znajomą drogą na cmentarz bierzy,
Szuka matuli w mogił rubieży,
Na świeżym grobie głowę opiera.

„Matulu droga, wyjrzyj z mogiły
Swojego Pawła zabierz do siebie,
Niech śmierć nas razem, matko, zagrzebie,
Samemu zostać brakuje siły!“

Surową ziemię z jękiem całuje,
A lzy sieroty z nocnymi rosy
Lekkim oparem płyną w niebiosy—
Z nich cień anioła lekko zstępuje.

Wonnym oddechem przechodzi błonie,
Pod jego stopą kwiatów kielichy
Rozpoczynają swój żywot cichy —
On duszę dziecka ujmuje w dłonie.

Jak niegdyś matka—kołysze, tuli,
 Spłakane oczy lekko zamyka,
 A nad mogiłą wierzbina dzika
 Szemrze liśćmi: „Oj, luli, luli!“..

W śnie duszę dziecka krzepi, hartuje
 Słodka melodia nieziemskiej pieśni —
 On pod jej czarem ból życia prześni,
 Anioł mu wyrok Boży zwiastuje :

„Pójdiesz przez ciernie, pójdiesz przez głogi,
 Lecz ci poezji zakwitnie róża,
 A siła pieśni będzie tak duża,
 Że ponad twarde wzniesie cię drogi.

„Złą rzeczywistość mara zasłoni
 Tęczowem skrzydłem boskiej muzyki,
 Za twą fujarką pójda koniki,
 Gdy zamiast bata ściśniesz ją w dłoni.

„Poezja twego ducha rozbudzi,
 Wielcy przed tobą uchylą głowy,
 I ty, dziś drobny pastuch wioskowy,
 Pieśnią zawładniesz tłumami ludzi.“

Jutrzenka zeszła promieniejąca,
 Znikły przejrzyste kształty anioła —
 Matula cicho Pawełka woła...
 Zrywa się—czołem gałązkę trąca:

Chwycił ją w dłonie—zielona, świeża.
 „Matulu, tyś mi dała wierzbinę,

Zaraz, matulu, jej korę zwinę.“
 Tonami pieśni żal polom zwierza.

Do ciebie, matko, piosnka ta płynie,
 Ze łzami dziecka wsiąknie w mogiłę
 I strasznej śmierci odgoni siłę,
 Dusze połączy w cudu godzinie.



D o i d e a ł u.

Kocham cię życia idealny wzorze!
Kocham cię gwiazdo mej duszy promienna
Jesteś, gdzie wstają prześwieliste zorze,
Wiara w twą prawdę jak twierdza kamienna
Której życiowe nie rozburzą gwałty;
Przystań w niej znajdzie byt z doli odarty.

Nie ma cię nigdzie—a jednak istniejesz.
Błuznią ci ludzie—jednak do cię dążą,
W myśli zbrodniarza jeśli atom wsiejesz
Przezucia siebie, winy go nie zwiążą
Wieczystą klątwą, w sąd jego żal włożą
Który dlań będzie twych dobrodziejstw zorzą.

Nikt cię nie widział—lecz twych skrzydeł wiewy
Każdy choć chwilę odczuł w serca głębi.
Więc mocny jesteś, bo twoje posiewy
Nie spłoną w żarze a mróz ich nie zziębi.
Do ideału krok jeden kto stawia
Z otchłani bólów godność ludzką zbawia.

W nędzy na takie wzbije się wyżyny
Że najszcześniejsi zazdrości mu będą;
Nie rozumiejąc zazdrości przyczyny

Na progu jego zagrody usiądą
I jak żebracy, pukać do wrót duszy,
Aż z niej się promyk i dla nich odkruszy.

A jako dzieci, z porwanym klejnotem
Bawić się będę—aż w igraszkach strwonią,
Wrócą do szalów. Nieraz jednak potem,
Poić się będą twoich wspomnień wonią
I chyląc głowę przed twym majestatem,
Siłę twojej władzy uznają nad światem.



Życie, a myśl.

Życie kuglarzu! jakie stwarzasz harce,
Myśli me w wiry porywasz szalone,
Czuję się niczem, prochem, ziarnem piasku.
Wysiłkiem woli ziarno rozsądzone
Rośnie w olbrzyma, światy stwarz nowe,
Czuje potęgę cudotwórczej siły,
Przeżywa życia rozrośnięte kręgi,
Cuda! o jakich, słowa nie mówiły
Dotychczas w żadnej ziemskich ludów mowie,
Lecz, może tylko wizye promieniste
Wybranych duszom zjawiały się we śnie
Jak meteory na szlakach ogniste!
Swobodne, dusza rozpostarłszy skrzydła
W potężnym locie o wieczność uderza,
W beczcelesności rozkoszy skąpiana
Tonie w zachwycie...

Gdy kły ciała, zwierza
Nagle, wśród gwiazdździć błysną ostrą bielą
Zgrzytem niebieską melodję zagłuszą,
Myśl jako anioł strącony upada,
Staje się prochem, cielesną katuszą...
Tęsknot bezmiary chwytają w swe szpony,
Krwia zalewają serca jasne czucie
I w torturowe ziemskich uczuć kręgi

Strącają za to chwilowe wyrzucie
 Ducha wolnego z doczesnej niewoli
 Nędznych nawyknień, upodobań, wstrętów
 I z jasnych szlaków czystego myślenia
 Strącają w fale życiowych odmetów.

Przeczuwam ciebie przejasna rozkoszy,
 Widzę twe pióra łabędziowej bieli,
 U ramion moich wytryskają skrzydła!
 Darmo... wszak drogę zamknęli anieli:
 „Tyj żyj człowiecze nędzą własnej żądzcy,
 Wyzieraj bliźnim chleb dla swego brzucha,
 Z rozkoszą sytych patrz na nędz udrękę,
 Że głodu nie znasz krzepi cię otucha.
 Więc śmieję się, szaleję ty królu stworzenia,
 Błazeńskim berłem wywijaj z rozkoszą,
 Ochłap rzuciłeś łatwego współczucia,
 Więc wzdęte pychę żagle cię unoszą.
 Wszak ty dla braci masz skarby uczucia...
 Morze litości—to zwodnicza fala,
 Okruchy stołu twego tak rozmnaża,
 Że w egoizmie dumę twą ocala.“

I znów, niepomna na sytości winy,
 Wzbijam się lotem w rozkosze błękitu,
 Targając łańcuch zmysłowego życia,
 Wracam w krainę miłości rozkwitu.
 Znów łudzę siebie, że uczuciem władnę,
 Że krew serdeczną wszechżyciu rozdaję...
 A ja dla siebie życie tworów kradnę
 I cała w stydzie mej sytości staję.
 Więc dusza moja, obrzydzeniem drżąca,
 Pragnie się wyzwuc z ziemskich prochów cieśni.

Rzucić je pastwą zgłodniałej gardzieli,
 O wyzwoleniu całe doby prześni.
 I lunatyzmu drętą ciężką tknięta,
 Jak błędny balon szybuje daleko,
 Do wrót niebytu już wyciąga dłonie,
 Wtem głód ją budzi bezsilną, kaleką...
 Więc szczerzy zęby, przeżuwa ochłapy
 Niedawno tłuszczy ciśnięte łaknącej
 I żywiąc ciało z bezmyślnością zwierza,
 Nurza się w falach rzeki pragnień rwącej...



Ż a l m a t k i.

Wiosna, kwiat drobny budzi się do życia
A ciebie nie ma najdroższy mój ptaszku
Gdy tyle ptaków wylata z ukrycia.

Szare swe piórka złocą w słońca blasku;
Główki podnoszą topiąc wzrok w błękiecie,
Świegocą rade i kąpią się w piasku.

Wiatr ciepłe tchnienie rozwiewa o świcie
Obłoki lecą jak stada łabędzi,
Niby okręty po fal niebnych szczycie.

Flotyła Boża z dobrą wieścią pędzi;
Ziemia pulchnieje, kielki grudy bodą
Z nich wysuwawając listeczków krawędzi.

Z ciemnych czeluści wychodzą z pogodą.
Tylko mojego życia kwiat uoczy
Już nie zakwitnie z wiosenną swobodą.

Gdy w lecie słońce war światel roztoczy
A bławat pola szafirem okryje,
Na mnie nie spojżą już habrowe oczy.

Kielichów róży krocie się rozwije
 Ale z różanych ust mojej dziecińcy
 Błogiej słodyczy już nigdy nie spiję.

Wobec wszechżycia, wspomnień okruszyny,
 Zamknąwszy oczy na barwy i blaski,
 Zbieram łakomie—jak ciasto ptaszyny

Któreś im rzucił—pamiętasz, z kolaski,
 Gdyśmy jechali z podwieczorkiem w pole,
 A ty przytknąwszy usteczka do laski

Jak do fujarki wioskowe pachole,
 Gwizdałeś dumki żeńcom na ochotę...
 A wiatr oddechy twoje niósł po siole.

I czułam tchnienia twojego pieszczotę.
 Teraz grobowej pragnę z tobą ciszy,
 Śpiewać nie mogę już na żadną nótę.

Duch mój w milczeniu tylko ciebie słyszy,
 Tylko cię widzę gdy zewrę powieki,
 Tylko w śnie złudnym twój gardziołek dyszy

I śmiercią pragnę usnąć już na wieki.



Święto lata.

Pasterz jestem—krówki pasę.
 Hanke lubię—w słodkim szale
 Z ust wiśniowych młodą krasę
 Piją moich ust korale.
 Na fujarce gram jej za to.
 Przytuleni w tonach pieśni
 Na zagonach całe lato
 Duch jej z moim duchem prześni
 Cudów tysiąc—tysiąc baśni.
 Zgoda święta, żadnych waśni.

Bo gdy ona pieśni śpiewa
 To fujarka odpowiada.
 Gdy baśń cudną prawi dziewa
 Dusza moja się spowiada.
 Jej niewinność we mnie spływa,
 Moja wiedza w nią przechodzi,
 Jakieś blaski wydobywa,
 Aż z popiołów się odrodzi
 Dawna wiara ta dziecięca
 Która każdą myśl uświęca.

Wtedy idziem ręka w rękę
 Do świątyni, na kolana

Paść i uczcić Bożą mękę
 I ubłagać niebios Pana,
 By na całym ziem obszarze
 Pieśń miłości brzmiała stale.
 Kochać bliźnich Bóg nam każe,
 Mają ustać jęki, żale.
 A zawzięte wszystkie złości
 Stopi wielki błysk miłości.

Bieżym w łąki pokrzepieni
 Nasze krówki żują trawę
 A słonocnych szlak promieni
 Śle złocistych skier kurzawę.
 I z oparów kwietnych łąki
 Mgławic krocie lekko wzlata,
 Otwierając kwiatów pąki,
 Na świąteczny pochód lata.
 Do mnie Hanka przytulona,
 Dusza moja, moja żona.

Ciężar ciała nic nie waży
 Dla promiennej duchów myśli.
 Ideału cześć ołtarzy
 Drogi życia nam wykryśli.
 Miłość nowe światy stworzy,
 Cud za cudem nam objawi
 Ostateczny cel ów Boży,
 Co po śmierci z nas zostawi?
 Gdy duch cierpi? kocha? bada?
 Aż człek w grobie się układa.

.....
 Czyż w mogile życia kresy?
 Duch tak piękny i świetlany

Gdy nie zwiną aloesy,
 Jak robiły Egipcjany,
 Ma wraz z ciałem prześć marnie?
 A gdzież jego wzloty, czucia?
 Gdzie mistyczne te męczarnie
 Ekstatyczne z ciał wyzucia,
 Przekonania, ideały,
 Czyżby z ciałem się rozwiały?

Zatem duch co rządzi ciałem
 Nie umiera—w niebo wraca.
 Więc gdy Hankę pokochałem,
 Nasza miłość, nasza praca
 Razem w wieczność się przewinie
 Jedną myślą tam spojeni
 Jak na ziemi w trudzie, w czynie
 Spłyniem w jasny szlak promieni
 I gwiazdami matce ziemi
 Zaświecimy bliźniaczemi.



Czerwcową bajka.

Róża cudny zwój rozchyła
I oddechem wonnym wieje.
Wiosna w swaty śle motyka
On zwodnicze ma nadzieje.

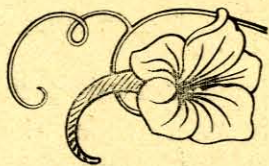
Jedna żółta, druga biała —
Ta różowe listki zwija,
Ta szkarłatem się oblała.
Każdej pragnie... zrazu mija.

Ale skrzydła puszcza w płasy
Szafir, złoto na nich świeci,
I podnosi dumnie wąsy,
Tutaj sfrunie — tam podleci.

Zgrabne kręgi w lot zatoczy,
Czasem spojrzy czule, słodko,
Obiecują zwodne oczy
Kochać stale... O! pieśczoćko!

W rozchylone listki wpada,
Oстрым dziobkiem słodycz spija.
Płonie róża — wzdycha: „Zdrada!“
On przy drugiej się uwija.

Rozkosz chłonie pełną strugą.
 Wonnych westchnień wzbudził tyle
 Że zdławiły go niedługo.
 I zdeptany konał w pyle.



Omyłki druku.



<i>Strona.</i>	<i>—</i>	<i>Wiersz od góry.</i>	<i>—</i>	<i>Powinno być.</i>	<i>—</i>	<i>Zamiast.</i>
13	—	ostatni	—	twór	—	dwór
11	—	11	—	łatwo	—	łatwe
15	—	5	—	rozpoczyna	—	rozpoczyną
20	—	19	—	punkt na końcu	—	
				wiersza		
25	—	16	—	słodko	—	cicho
"	—	18	—	Ty mała pieszczołko	—	Zle odpędzim licha
29	—	4	—	człowiek	—	człek znów
"	—	23	—	prześwica	—	przyświeca
"	—	24	—	panionko	—	panienka
36	—	19	—	kryśli	—	kreśli
39	—	21	—	młodo	—	młode
58	—	32	—	tonie	—	łonie
72	—	10	—	poezyi	—	poezji
"	—	21	—	"	—	"
77	—	20	—	melodyę	—	melodję
78	—	19	—	fala	—	tala



Spis rzeczy.



	Strona
Przygrywka	7
Wieczornica Wołyńska	9
Pierwsza bajka p. Grzędziny	14
Szumka Semena.	22
Dumka Kolyny	24
Ballada Piórkowicka	28
Piosnka panicza	32
Druga bajka p. Grzędziny (Cudowne źródło)	38
Sierota	69
Do ideału	75
Życie a myśl	77
Żal matki	81
Święto lata	83
Czerwcową bajką	87
Omyłki druku	89



33996